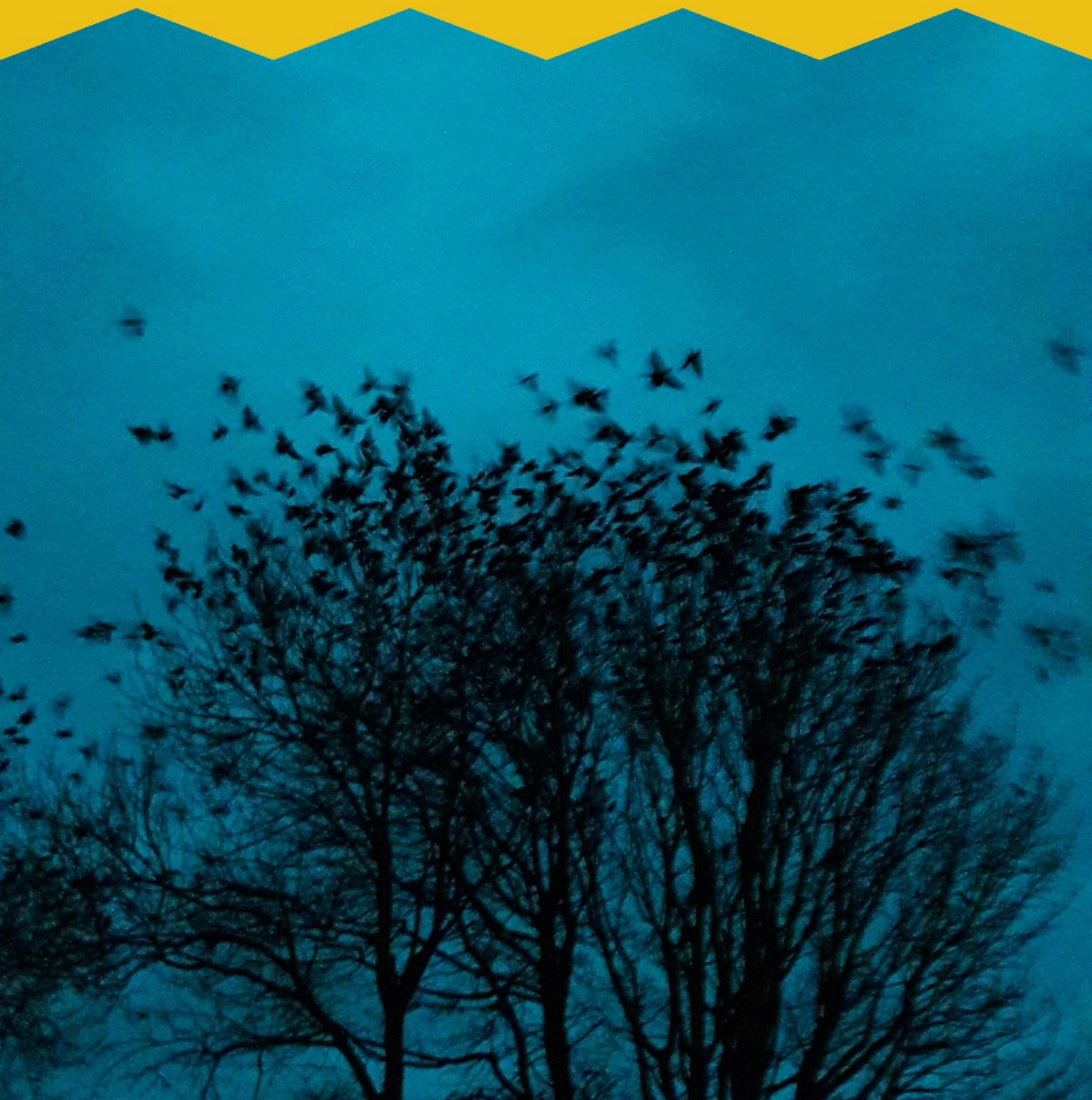


Trzy poemata



JULIUSZ SŁOWACKI

Trzy poemata

Ojciec zadżumionych

W EL-ARISH

Dla objaśnienia następnego poematu potrzeba mi nieodbicie powiedzieć kilka słów o kwarantannie na pustyni między Egiptem a Palestyną, blisko miasteczka El-Arish. Wymyśłem to jest dziwnym Mohameda Ali, że między dwoma swoimi państwami nazaczył myślą na błędnym piasku granicę i pod karą miecza zmusił wolne Beduiny rozbijać w tym miejscu namioty i żyć przez dni kilkanaście pod dozorem straży i doktora; inaczej zaś z Egiptu do Syrii dostać się nie mogą. Podróżując na wielbłądzie musiałem podobnemu ulec losowi. Po ośmiu dniach drogi przybyłem z Kairu na smutną dolinę piaszczystą, abym na niej przez dni dwanaście zamieszkał. Zrazu pojąć nie mogłem, jak miejsce puste, bez żadnego domu, błędnym piaskiem zawiane, mogło prawu ludzkiemu podlegać; ale miecz baszy zdawał się wisieć w błękitnym niebie nad głową moich przewodników Arabów, bo przybywszy na dolinę kwarantanny kazali zaraz ukłęknać wielbłądom, a w twarzach ich czarnych widać było głębokie poddanie się ludzi wolnych pod prawo straszego człowieka. Przybył doktor z miasteczka El-Arish; pierwsze to było miasteczko, które od wyjazdu z Kairu obaczyłem z daleka, a doktor pierwszym napotkanym człowiekiem. Pan Steble, tak się nazywał ów lekarz, emigrant włoski, ożeniony świeżo z panną Malagamba, sławną pięknnością na Wschodzie, o której Lamartine z takim uniesieniem rozpowiada, starał się natychmiast mój pobyt pod otwartym niebem jak najwygodniejszym uczynić; wydał ze składu kilka namiotów dla naszej podróżnej gromadki; a jak się później dowiedziałem, rączki jego żony grzęzły w białej i srebrnej mące, aby mi na chlebie europejskim nie zabrakło. Rozłożywszy się pod namiotem przywykać zacząłem do smutnego widoku, który mnie otaczał. Opoдал nieco rzeczka, sucha prawie aż do dna, przerzynała piasku dolinę i szła do morza, za nią szara wstęga palmowych lasów; od północy błękitna szarfa Morza Śródziemnego roztrącała się o piasek i smutnym gwarem fal napępiała ciche nad pustynią powietrze; nad morzem zaś, na piramidalnej piasku mogile, błyszczał białą kopułą mały grobowiec Szecha, straszny, albowiem tam, w jego lochach, składano umarłych z dżumy; a zaś architektura jego i żółtawa białość nadawały mu pozór kościotrupa. Z innych stron wzgórze piaskowe i na nich straży namioty, i patrzący na kwarantannę strażnicy w jaskrawych orientalnych ubiorach; w środku zaś doliny niby stożec piaskowy, z którego muezin obwoływał donośnym głosem wielkość Boga rano, wieczorem i w nocy. Wszystkie te obrazy czytelnik drugi raz odbite znajdzie w następującej powieści; a pokażą się mu we właściwszym świetle, albowiem je zobaczy przez łyżki ludzkie. Co do mnie, przywykać zacząłem do mego namiotu i podobałem sobie w ciszy piaskowego stepu i w szumie morza, do którego brzegów pozwalano mi chodzić wzięwszy z sobą jednego z kwarantanny strażników. W wigilią Bożego Narodzenia (1836 r.), kiedy z tej spokojnej pustyni myśli moje odbiegły aż do dalekiej ojczyzny mojej i ku owym dniom, które dawniej spędzałem na ucztach w gronie rodzinnym, okropna burza, przewiewana wichrem z Morza Czerwonego na Śródziemne, gruchnęła w nocy i polala się deszczem piorunów na mój namiot oddalony od ludzi. W smutne i zamyślane o kraju serce zaczęło wchodzić powoli przerażenie... Szeleszczący od wichrów i deszczu namiot chwiał się nade mną i zacerwieniony

od piorunów wydawał się ognistym i strzegącym łoża bezsennego cherubinem... Wicher mi zagasił światło, a wilgotny knot na nowo zapalić się nie chciał. Próżne tu byłyby opisy; albowiem wielkością biblijną nacechowana była ta burza w pustyni — Anhelli myślał, że już przyszedł wicher, który go z ziemi zwieje i zaniesie w krainę cichą — przeszła jednak ta bezsenna noc zgrozy, a gdy nad rankiem wyszedłem z namiotu, chmury żelazne okrywały niebo i drobny deszczyk zasmucał powietrze. Ale nie tu był koniec przestraszków; krzyk Arabów uwiadomił mnie o nowym niebezpieczeństwie: owa rzeczka, gdzie wczora zaledwo nitka wody sączyła się po piaskowym korycie, nabrzmiała nocną ulewą i srebrnymi płetwami prosto biegła roztoczyć się po dolinie, na której stały nasze namioty; zaledwo kilka chwil czasu zostawało do ratunku; unieśliśmy za pomocą Arabów namioty nasze na najbliższe wzgórze piaskowe, a zaraz po nas przyszła woda napęcznieć owe kręgi piaskowe, które jako ślady naszych zerwanych domów zostały w dolinie. Zziębły i ponury patrzałem ze wzgórza na tryumf tej biednej rzeczki, a patrząc tak, dziwnego doznawałem wrażenia. Bez dachu, bez ognia, bez pokarmu, doznawszy morskiego prawie na ziemi rozbicia, nie mogłem jednak udać się do bliskiego miasteczka, gdzie byli ludzie, ani prosić, aby mię pod dach jaki przyjęto i przy gościnnym posadzono ognisku. A mogły nadejść okropniejsze burze, mogło nareszcie przyjść morze i zatopić wzgórze, na którym stałem; a wszystko to trzeba było własnymi siłami wytrzymać, ocalić się lub zginąć, pod okiem ludzi, którzy się mnie i rzeczy moich dotknąć nie mogli i nie śmieli. Wyjaśniło się na koniec niebo, a ja, nauczony doświadczeniem, już nie w dolinie, lecz na wzgórzu najwyższym rozbiłem namiot; i przysły dni pogodne, ciche, spokojnie płynące w pustyni. Drogman¹ mój Soliman, sławny z tego i chępliwy, że był niegdyś tłumaczem Champoliona, Roseliniego, Fresnela i wielu innych, opowiadał mi o swoich dawnych panach różne drobne szczegóły ich podróży i ze mnie zapewne zbierał zapas małych postrzeżeń, którymi będzie bawił przyszłych wędrowników. Wieczorem zaś, usiadłszy na ziemi u wejścia do namiotu, piękny ten Arab, z długą brodą, oświecony wzierającym między płótna księżycem, śpiewał mi strofy z poematów arabskich, których dźwięk niezrozumiany i smutna nuta kołysały mnie do snu. A wtenczas — może mnie anioł snów okrywał płaszczem rycerza Solimy i naznaczał krzyżem czerwonym na piersiach, a zaś Araba tego przemieniał w giermka śpiewającego smutne dумы z ziemi rodzinnej. Lecz dosyć już o tym śnie tajemniczym życia mojego, o tym złotym stepie i o tym namiocie, gdzie miałem chwile spokojne, gdzie budząc się, przez roztworzone płótno oczy moje napotykały konstelacją Oriona, tak podobną do gwiazdzistej lutni zawieszanej przez Boga nad biednym namiotem błędnego Polaka. Dosyć o tym cichym tygodniu życia — przeminął. — Wielbłądy moje znów uklękły przede mną i podniosły się z pielgrzymem zadumanym, wyciągając długie, wężom podobne szyje ku grobowcowi Chrystusowemu; a kiedy już byłem o godzinę drogi ku wschodowi, obróciłem się na siodle, aby raz jeszcze spojrzeć na mój namiot zielony; obaczyłem go na wzgórzu i zdawało mi się, że sam wyszedł na miejsce wysokie, aby mnie pożegnać; a czy to ludzie pakując rzeczy, czyli też sam namiot, nie czując już w sobie mieszkańca, wyrwał kilka kołów z piasku i skrzydłem powiewał za mną, pokazując mi swoje łono czarne i puste. — Odwróciłem się od tej rzeczy, co miała serce rozdarte po mnie. A wkrótce zaczęły się pokazywać na piasku lilije² białe, zwiastując, że się zbliżam do żyźniejszej krainy; i pomyślałem, że na te same kwiaty obróciwszy oczy mówił Chrystus do uczniów swoich, aby się nie troszczyli o jutro i o rzeczy z tego świata, patrząc na lilie, które Bóg odziewa.

Oto jest opis kwarantanny odbytej przeze mnie na pustyni; gorszą daleko wysiedział ów starzec opowiadający nieszczęścia swoje w następnym poemacie. Historia jego boleści nie jest całkowicie zmyślona: opowiadał mi ją doktor Steble, któremu tak za nią, jako za chleby i za uprzejmość dla mnie podziękowałbym tutaj, gdybym wiedział, że te kilka wyrazów znajdzie go na pustyni. Ale czymże jest dla niego wspomnienie w niezrozumianym języku i wymówione głosem, który zaledwo się tak rozchodzi, jak kręgi na wodzie po rzuconym do niej kamieniu?

Trzy razy księżyc odmienił się złoty,
Jak na tym piasku rozbiłem namioty.

¹*drogman* (z arab.) — bliskowschodni tłumacz i przewodnik. [przypis edytorski]

²*lilije* (daw.) — dziś: lilie. [przypis edytorski]

Małeńkie dziecko karmiła mi żona,
Prócz tego dziecka, trzech synów, trzy córki,
Cała rodzina, dzisiaj pogrzebiona,
Przybyła ze mną. Dziewięć dromaderów
Chodziło co dnia na piasku pagórki
Karmić się chwastem nadmorskich ajerów;
A wieczór — wszystkie tu się kładły wiankiem,
Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali.
Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,
Synowie moi ogień rozkładali,
Żona, z synaczkiem przy piersiach, warzyła.
Wszystko to dzisiaj tam — gdzie ta mogiła
Promienistemu słońcu się odśmiecha,
Wszystko tam leży pod kopułką Szecha.
A ja samotny wracam — o boleści!
Trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści,
Odkąd do mego płóciennego dworu
W tej kwarantannie wszedł anioł pomoru.

Rodzina

O! niewiadoma ta boleść nikomu,
Jaka się w moim sercu dziś zamyka!
Wracam na Liban, do mojego domu —
W dziedzińcu moim pomarańcza dzika
Zapyta: „Starcze! gdzie są twoje dziatki?” —
W dziedzińcu moim córek moich kwiatki
Spytają: „Starcze! gdzie są twoje córki?”
Naprzód błękitne na Libanie chmurki
Pytać mię będą o synów, o żonę,
O dzieci moje, wszystkie pogrzebione
Tam, pod grobowcem tym okropnym Szecha —
I wszystkie będą mię pytały echa,
I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem,
Pytać się będą. — Cóż ja im odpowiem?!

Cierpienie, Samotność

Przybyłem. Namiot rozbiłem na piasku.
Wielbłądy moje cicho się pokładły;
Dziecko, jak mały aniołek w obrazku,
Karmiło wróble, a ptaszęta jadły,
Aż do rąk prawie przychodząc dziecinie. —
Widzisz tę małą rzeczulkę w dolinie?
Od niej wracała najmłodsza dziewczyna,
Z dzbankiem na głowie, prościutka jak trzcina.
Przyszła do ognia i wodą z potoku,
Śmiejąc się, lekko trysnęła na braci. —
Najstarszy — z ogniem zapalonym w oku
Wstał, dzbanek wody chwycił w drżące dłonie
I rzekł: „Sam Bóg ci za wodę zapłaci,
Bo chcę pić jak pies, bo ogień mam w łonie”.
To mówiąc, wodę wypiwszy ze dzbana,
Powalił się tu jak palma złamana.
Przybiegłem — nie czas już było ratować. —
Siostry go chciały martwego całować;
Krzyknąłem wściekły: „Niech się nikt nie waży!”
Porwałem trupa i rzuciłem straży,
Aby go wzięła na żelazne zgrzebła
I tam, gdzie grzebią zarażonych, grzebła.

Dziecko

Choroba, Śmierć

Pogrzeb, Trup

A od tej nocy tak pełnej boleści
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Tej samej nocy Hafne i Amina
Umarły leżąc na łożu przy sobie.
A patrz! — tak cicho umierały obie!
Że choć po śmierci najstarszego syna
Oczy się moje do snu nie zawarły,
A nie słyszałem, jak obie umarły.
I nawet matka własna nie słyszała,
Choć wiem, że także tej nocy nie spała.
Rankiem obiedwie³ sine jak żelazo,
Dwie moje córki zabite zarazą,
Wywlec kazałem strażnikom z namiotu;
I porzuciły nas! — i bez powrotu!...
A jak dorosłym przystoi dziewczicom,
Włosami ziemię zamiotły rodzicom.

Śmierć

Trup

Widzisz te słońce w niebie lazurowym?
Zawsze tam wschodzi za lasem palmowym,
Zawsze zachodzi za tą piasku górą;
Zawsze te⁴ niebo nie splamione chmurą:
A mnie się zdało wtenczas, nie wiem czemu,
Że słońce słońcu nie równe złotemu;
I już nie takie, jakie było wczora⁵,
Ale podobne do słońca upiora.
A niebo, które patrzyło na zgubę
Mego rodzeństwa, moich trojga dzieci:
Tak mi się mgliste zdawało i grube
Ziemi wyziewem i słońca purpurą,
Że nie wiedziałem, czy pacierz doleci
Do Pana Boga, co się zakrył chmurą.

Słońce

I tak dni dziesięć przeszło, choć nie skoro⁶.
Reszta mych dzieci żyła — wszystko czworo.
Małżonka moja serce miała lżejsze,
I nawet moje dzieciątko najmniejsze
Żyło i kwiatkiem nie chciało usychać —
Ja sam nareszcie zacząłem oddychać;
Bo nie wierzyłem, żeby wzięwszy troje
Bóg mi chciał zabrać wszystkie dzieci moje.

O! była to więc piekielna godzina!
Gdy patrząc na twarz najmłodszego syna
Śmierć zobaczyłem! — Ach, ja go tak strzegłem!
Pierwszy na twarzy znak wystąpił drobny;
Nikt by nie dostrzegł — ja, ojciec, spostrzegłem.
On do tamtego stawał się podobny;
Stawał się jak mój trup pierworodzony
Z jasnego blady, z bladego czerwony.
Patrzę! — Na twarzy płam żelaznych krocie —
Więc zawołałem głośno: „Śmierć w namiocie!”
I pochwyciwszy go z takimi trądy

Choroba, Śmierć

³obiedwie (daw.) — dziś popr.: obydwie. [przypis edytorski]

⁴te — dziś popr.: to. [przypis edytorski]

⁵wczora (daw.) — dziś popr.: wczoraj. [przypis edytorski]

⁶skoro (daw.) — szybko. [przypis edytorski]

Wyniosłem na step, pomiędzy wielbłądy,
Aby go tam śmierć zgryzła do ostatka;
I żeby na to nie patrzała — matka.

Przy konającym czuwaliśmy bliscy
Ja z wielbłądami — na kolanach wszyscy.
Łamałem ręce i wołałem głośno:
„Oby nie umarł! lub się był nie rodził!” —
A tam nad palmy, z twarzą nelitośną,
Gdy konał mój syn, błądy miesiąc wschodził
I patrzył: — tego z pamięci nie zatrzeć!
I nie wiem, jak ten sam miesiąc mógł patrzeć?
Gdy skonał w moim ojcowskim uścisku,
Chciałem go spalić na popiół w ognisku;
Lecz ledwie ogień zaczął biec po szacie,
Wyrwałem trupa i rzuciłem straży —
Poniosło mi go czarnych dwóch grabarzy,
I lepiej mu tam przy siostrach i bracie.
Od tego zgonu i od tej boleści
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Pogrzeb, Trup

Pod kręgiem słońca jako krew czerwonym
I pod namiotem tym zapowietrzonym
Żyliśmy, słowa nie mówiąc do siebie,
I śmierć przed samą śmiercią udawali
Mysząc, że Boga oszukamy w niebie,
Że się ten bałwan zarazy przewali. —
Powrócił! — Anioł powrócił morderca!
Ale mnie znalazł bez łez i bez serca,
Już omdlałego na boleści świeże,
Już mówiącego: „Niech Bóg wszystko bierze!”
Miałem na syna trzeciego cierpienia
Powieki bez łez i serce z kamienia.
Boleść już była jako chleb powszedni.
I pod oczyma mi konał mój średni,
Najmniej kochany w moim rodzinnym gronie
I najmniej z dzieci płakany po zgonie.
Toteż Bóg jemu wynagrodził za to,
Bo mu dał cichą śmierć i lodowatą,
Bez żadnych bólów, bez żadnych omamień.
Skonał i skościł, i stał się jak kamień.
A tak okropnie po śmierci wyglądał,
Jakby już próżnych naszych łez nie żądał,
Ale chciał tylko lice swoje wrazić
W serca nieczułe, oczy nam przerazić
I wiecznie zostać w rodziców pamięci
Z twarzą, co woła: „Jesteście przekłęci!”

Śmierć, Trup

Skonał. Myślałem wtenczas — o rozpaczy! —
Że jeśli reszcie Pan Bóg nie przebaczy,
Jeśli anioła śmierci przysze⁷ po nie:
Dziecko mi weźmie — żonę — a po żonie
Mnie nieszczęsnego zawoła przed Stwórcę...
Córka! — Ja myśleć nie śmiałem o córce!
I trwoga o nią nie gryzła mię żadna.
Ach, ona była młoda! taka ładna!

Córka

⁷przysze (daw.) — dziś: przyśle. [przypis edytorski]

Taka wesoła, kiedy moją głowę
Do lilijowych brała chłodzić rączek,
Kiedy zrobiwszy z jedwabiu osnowę,
Okolo cedru biegła po trawie,
Jak pracowity snując się pajączek.
Patrz! i ten pas mój błyszczący jaskrawie⁸
Ona robiła — i te smutne oczy
Ona rąbkami złocistych warkoczy
Tak przesłaniała, że patrzałem na nią
Jako na róże przeze lzy i słońce.
Ach, ona była domu mego panią!
Ona jak jaśni anieli obrońce
Najmniejsze dziecko w kołysieczce strzegła.
I gdzie płacz jaki słyszała, tam biegła;
I wszystkie nasze oplakała ciosy,
I wszystkie nasze lzy — wzięła na włosy.

Dziesięć dni przeszło i nocy tak długich,
Że śmierć już mogła na gwiazdy odlecieć⁹.
Dziesięć dni przeszło, dziesięć nocy drugich
Przeszło — nadzieja zaczynała świecić...
Po dzieciach ustał wielki płacz niewieści
I naliczyliśmy ranków trzydzieści.
Nareszcie zbywszy pamięci i mocy,
Położyłem się i zasnąłem w nocy.
I we śnie, w lekkie owinięte chmury,
Ujrzałem moje dwie umarłe córy.
Przyszły za ręce trzymając się obie;
I pozdrowiwszy mię pokojem w grobie,
Poszły, oczyma cichymi błyszczące,
Nawiedzać inne, po namiocie śpiące.
Szły cicho, z wolna, schylały się nisko
Nad matki łóżem, nad dziecka kołyską;
Potem na moją najmłodszą dziewczynę
Obiedwie — ręce położyły sine!
Budzę się z krzykiem i umarłą dziatwę
Klnąc wołam dziko: „Hatfe! moja Hatfe!”
Przyszła jak ptaszek cicho po kobiercu,
Rzuciła mi się rączkami na szyję;
I przekonałem się, że Hatfe żyje,
Słyszac jej serce bijące na sercu.
Ale nazajutrz grom przyszedł uderzyć —
Córka!!! — Lecz na co z boleścią się szerzyć?
I te mi dziecko sroga śmierć wydarła!
I ta mi córka na rękach umarła!
A była jedna najstraszniejsza chwila —
Kiedy ją bole targaly zabójcze,
Wołała: „Ratuj mię! ratuj, mój ojczel!”
I miała wtenczas czerwone usteczka
Jak młoda róża, kiedy się rozchyła. —
I tak umarła ta moja dziewczeczka,
Że mi się serce rozdarło na ćwierci —
A piękna była jak anioł — po śmierci!

Sen

Córka

Choroba, Śmierć

⁸jaskrawie — jaskrawo. [przypis edytorski]

⁹odlecieć — popr. odlecieć. [przypis edytorski]

Przyszli nade mną płakać nieborakiem
Strażnicy; przyszli mi wydrzeć to ciało.
I nieostrożni zaczęli hakiem —
Hak padł na pierś jej twardą, krągłą, białą...
I tu — bogdajby jak ja nie umarli! —
Tu ją pod mymi oczyma rozdarli. —
Ty im to, Boże niebieski, spamiętasz!
Wziąłem ją — i sam zaniósłem na cmentarz.

Z założonymi na piersiach rękoma
Siedziała trzy dni matka nieruchoma
W kącie namiotu, żółta, jakby z drewna.
Dziecina stała się blada i rzewna;
Bo mleko matki zaczęło wysychać,
I co dnia było płacz w kołysce słychać.
A ta pustynia — nie masz dzieci w grobie! —
Ona inaczej wydaje się tobie,
Może złocista, jasna i weselna?
Lecz dla mnie jest to równina piekielna!
Przez tę równinę, przez te piasku kupy
Ciągnięto śniade moich dzieci trupy.
A tam na wzgórzu, kędy morze bije,
Dla ciebie szumi morze — dla mnie wyje;
A kiedy z wichrem na brzegi nie skacze,
Dla ciebie szemrze tylko — dla mnie płacze.
Co dnia gdy przyszła wieczorna godzina,
Śpiewającemu słyszał muezina¹⁰:
Jakby się nad mym ulitował losem,
Zaczął smutniejszym obwoływać głosem,
Krzycząc ze swego piaskowego stoga
Nieszczęśliwemu ojcu — wielkość Boga.
O! bądźże mi Ty pochwalony, Alla!
Szumem pożaru, co miasta zapala,
Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca,
Zarazą, która dzieci mi wytraca
I bierze syny z łona rodzicielki.
O Allah! Akbar Allah! jesteś wielki!

Wszystko, co miało tylko twarz człowieka,
Zacząło stronić ode mnie z daleka.
Namiotu mego — córki go uprzedły —
Płótna na rosie poczerniały, zwiędły
I podarły się, i lekko napięte
Były jak próchna z ludzkich trumien zdjęte.
Zarazę było znać na tym namiocie —
I wiesz, że nawet tych wróbelków krocie,
Co zlatywały się tutaj o brzasku
Jeść okruszyny i kąpać się w piasku;
Odkąd mi dzieci zaczęło ubywać,
Po żer przestały się wszystkie zlatywać.
Czy odstraszyło je podarte płótno
Namiotu mego? czy twarz moja biedna? —
Nie przyleciała z ptaszyn ani jedna
I spostrzegłem to — i było mi smutno.
Po córce w pięć dni — o Boże mój! Boże!

Dziecko, Matka

Ptak

¹⁰muezin (z tur.) — muzułmanin wzywający do modlitwy. [przypis edytorski]

Z wieczora huczeć już zaczęło morze
I słońca się krąg pochował ponury,
I niebo czarne zaciągnęły chmury.
Noc przyszła, dotąd w pamięci ohydna,
Ciemna, od gromów czerwoności widna.
Jeszcze dziś czuję i widzę, i słyszę,
Słyszę, jak namiot gęste sieką deszcze,
Jak się rozciąga, jak głucho szeleszcze,
Jak się nade mną w ciemności kołysze
I od piorunów się cały czerwieni,
Podobny grobom szatańskim z płomieni.
Zdawało mi się za burzy łoskotem,
Żem słyszał martwe dzieci, za namiotem,
Wszystkie jęczące przeraźliwie, głucho.
Więc natężyłem wzrok, serce i ucho;
I z przerażeniem rozmyślałem w sobie,
Jak moim dzieciom takiej nocy w grobie?

Burza

I nagle! — Czemuż ta śmierć tak zdradziecko!
Tak cicho weszła pod namiotu żagle?! —
Grom spadał hucząc po gromie — i nagle
W kołysce z cicha zapłakało dziecko —
A płacz ten musiał być straszny wyrazem...
Bo zaraz — matka — ja — oboje razem —
Rzuciliśmy się, gdzie robaczek lichy...
A choć dziecięcia jęk był bardzo cichy,
To tak wydawał się obojgu głośny
I tak rozdarty, i taki żaloszny,
I tak z głębokich wnętrzości wyjęty!
I tak rozumny! i taki przeklęty!!!
Żeśmy oboje biegli gromem tknięci,
I bez nadziei już! i bez pamięci!

Choroba, Dziecko

I nie zawiodło przeczucie żałoby!
Umarło — z takiej jak tamte choroby.
I poszło leżeć między trupy bratnie,
Moje najmilsze!... i moje ostatnie!!!
Śmierć mi go czarna wzięła Nielitośnie.
I już nie wróci! ani mi urosnie!
Ani go kiedy mój dom już zobaczy! —
I już nie wróci nigdy! — o rozpaczyl!!!

Rozpacz, Śmierć

Noc przyszła druga, błyszcząca gwiazdami,
Byliśmy z matką w namiocie — przed nami
Leżało dziecko na stole, nieżywe,
Nieruchomością śmierci przeraźliwe.
Uczulem wtenczas, patrząc na tę postać,
Że gdyby mogło choć tak z nami zostać
Przez wszystkie lata — choć tak, nie inaczej
Ubyłoby mi z serca pół rozpaczyl.
A te już — ani zarazy strażnicy,
Ani ja niosłem do Szecha kaplicy,
Gdzie się nam trupia otwierała brama,
Ale je matka tam zaniosiła sama.

Trup

W namiocie pustym ja zostałem z żoną.
Ale czy pojmiesz? — zamiast nas połączyć,

Małżeństwo, Samotność

Boleść obojgu nam rozdarłszy łono,
Zaczęła jakieś jady w serca sączyć,
I teraz chyba je sam Bóg oczyści.
Smutek podobny był do nienawiści
I stanął czarny, wielki, między nami.
Więc rozłączeni byliśmy i sami.
I nie mówiliśmy do siebie słowa —
Bo powiedz, jakąż być mogła rozmowa
W pustym namiocie między mną i żoną?
Pomiędzy ojcem i matką tych dzieci?...
Słońce wschodziło w upały czerwono,
Co dnia tonęło tam, gdzie teraz świeci
Jak jaka skrawa pożaru pochodnia. —
Więc tak bezdzietnym było — i tak co dnia —
Cisza ogromna namiot nasz zaległa.
Chyba mysz jaka w księżycu przebiegła;
Zgoła innego jęku ni szelestu...
Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu.
I kwarantanny przybyli lekarze,
Głęboko patrząc w nasze smutne twarze.
Widziałem, jak się każdy z nich zadziwiał;
Bo nachyliłem się był i posiwiiał.
A żona moja od niespań i troski
Była jak bursztyn albo żółte woski;
Na głowie miała z włosów siwych wieniec,
Jakiś okropny ceglany rumieniec,
A oczy pełne takiej błyskawicy,
Jak ci, co wyjdą na słońce z ciemnicy.
Lekarz nam kazał w sustawy¹¹ uderzyć,
Tam gdzie zaraza pierwsze rzuca strupy —
Zdrów byłem. — Ludzie! czy będziecie wierzyć?
Ja, co me wszystkie całowałem trupy,
Z tej kwarantanny wychodziłem zdrowy;
Żona, co nawet nie tknęła połowy,
Nad piersiami się uderzywszy zbladła
I zachwiała się z jękiem — i upadła.
A ja na ręce wziąłem trup niewieści,
Zaniosłem w namiot i rzuciwszy brzemię
Upadłem przy niej jak martwy na ziemię.
I obudziłem się — na dni czterdzieści...

Śmierć, Trup

Przed samą śmiercią wyznała mi matka,
Że chciała z grobu swojego dzieciątka
Jakiej pamiątki, kamienia lub kwiatka,
Włoska w złocistych na głowie obrączkach;
I ta po dziecku umarłym pamiątka —
Patrzaj! — obrazek ten, co trzymał w rączkach,
Te włoski złote i tak dzisiaj święte,
W mogiłce z główki maleńkiemu zdjęte —
Bo biedna matka miała tyle mocy,
Że odkopała dziecko o północy;
Znalazła jeszcze nie zepsutym wcale,
Pocałowała w usteczek korale
I znów włożyła do trupich obślónek —
Te upominki i ten pocałunek,

Dziecko, Matka, Trup

¹¹sustaw (daw.) — dziś: staw. [przypis edytorski]

Zazdrosnej ziemi Szecha ukradzione,
Zabiły matkę i wzięły mi żonę.

I znów się łono piaskowe otwarło,
Gdzie pochowałem matkę martwych zmarłą.
Potem wróciłem do płóciennej nory
Schować się w cieniu jak nocne potwory.
Ani ja słońca na niebieskim sklepie,
Ani mnie ludzie widzieli na stepie.
Stałem się jako zdzieciniali — starzy —
W pamięci mojej — żadnej żywej twarzy,
Tylko te sine i okropne lica,
Które mi wzięła zarazy martwica.
I w dzień błękitny, i w noc każdą ciemną
Oni tu byli w tym namiocie ze mną;
Gadałem z nimi, zmyślałem rozmowy,
W których rozmawiał ze mną tłum grobowy;
I często dziwnym natrafiłem losem
Na głos, co moich był dzieciątek głosem.
Z obłąkanego budziły mię śnięcia
Po nocy hyjen przeraźliwe wycia
Tam nad trumnami... i słuchałem błądy,
Jak nad trupami płaczą trupojady.
Stałem się wreszcie jak wąż, gdy ochłodnie.
I przechodziły mi dnie i tygodnie
Bez żadnych bólów, pamiętek, omamień.
Stałem się twardy i zimny jak kamień.
I raz — ach, boska nade mną opieka!
Patrzę, ktoś w namiot mój cicho zagląda —
I ach! — Nie była to już twarz człowieka,
Lecz głowa mego starego wielbłąda.
Spojrzał — i spojrzał z twarzą tak litośną,
Że rozplakałem się jak dziecko głośnie.

I tak przeżyłem smutnych dni czterdzieście;
Przyszli mię ludzie uwolnić nareszcie.
O gorzka wolność i chwila odlotu!
Jam do ciemnego już przywykł namiotu;
Z uczuciem smutku, boleści i zgrozy
Będę wrywał koły i powrozy,
Które... (o Boże wiekuisty, świeć mi!...)
Do tego piasku zatykałem z dziećmi.
Ach, pomóż ty mi je zerwać — sam jestem!
A może tobie posępnym szelestem
Te płótna więcej boleści powiedzą?
One widziały wszystko! wszystko wiedzą!
Czyż nie są teraz jak męki obrazy?
Patrz na nie, dotknij! nie bój się zarazy,
Nie bój się śmierci, co dotknięciem sinem¹²...
Wszak ty nie jesteś, synu, moim synem.
Lecz nie — uciekaj! Ja wiem, że te płótna
Straszne się muszą obcym ludziom zdawać.
Śmierć od zarazy? — Ach! to śmierć okrutna!
Zaczynasz własnych braci nie poznawać,
Potem cię ogień pali, piersi górą...

Wolność

Choroba

¹²sinem (daw. forma N.) — dziś: sinym. [przypis edytorski]

Ach! ja tak moich widziałem ósmioro!
I co dnia patrząc na tak konające,
Wysiedziałem tu całe trzy miesiące.
Dziś — oto dziewięć wielbłądów podróżnych,
A na nich — patrzaj, osiem juków próżnych,
I nie zostało mi nic — oprócz Boga;
I tam mój cmentarz — a tamtędy droga. —

Wacław

Są przedmioty, których by się pióro poety tknąć nie powinno; takim zapewne jest śmierć Wacława, którego nam Antoni Malczewski tak cudownymi kolorami w poemacie *Maria* odmalował. Jakiś jednak mimowolny pociąg, chciałbym go nazwać natchnieniem, zmusił mnie do napisania następnego poematu; a od prawdziwych nie odstępując podań, starałem się ile możliwości zidealizować rzecz pełną czarnych mętów i okropności. Może kilka strof spowiedzi Wacława wyjednają mi u czytelnika nieco pobłażającego sądu dla reszty i ogólnego układu pisma, którego już ani poprawić, ani przemienić nie jestem zdolny; a dwa poprzedzające poemata przybiegną w pomoc broniącemu się od zupełnego potępienia poecie.

I

Witaj mi, ziemio stepów gładka, cicha,
Gdzie kwiat dla Boga kwitnie i usycha;
Gdzie dwa kurhany¹³ na błękitnym niebie
Przez całe stepy patrzą się na siebie;
Gdzie przerywają trupy sen grobowy,
Orłami z sobą prowadząc rozmowy;
Lub gdy je przyjaźń w mogiłach nie zbliża,
To krzyż się groźnie pogląda na krzyża
I oba drewna niby grożą sobie
Przez całe stepy zemstą śpiącą w grobie.
Krzyżowe groźby i poselstwa ptaków
Lecą przez krwawe doliny bodiaków¹⁴;
I czuć w powietrzu, że tu myśli wojna,
Choć słońce złote, choć ziemia spokojna.
Bo choć się skończą rycerstwa i waśnie,
To ziemia mogił tak prędko nie zaśnie;
Ale w jej sercu wolność się odzywa,
Kiedy się orzeł gdzie z mogiły zrywa,
Kiedy zatętni jaki wicher głuchy,
Gdy zaszeleszczą powojów łańcuchy;
Albo gdy śmignie jaki złoty sumak,
Myśli, że biały Puławskiego rumak;
Albo gdy kosa o kamień zadzwoni,
Myśli, że Sawa jedzie w tysiąc koni;
Ale już w grobach są ci sławo-kraśni.
Ziemio kurhanów, nie marz o nich — zaśnij!

Cmentarz

Historia, Pamięć

¹³*kurhan* — rodzaj mogiły w formie ziemnego kopca. [przypis edytorski]

¹⁴*bodiak* (z ukr.) — kolczasty chwast stepowy. [przypis edytorski]

II

Znasz ty tęczowe ruszałek upiory?
Czy znasz prorocką dumę Wernyhory¹⁵?
Czy wiesz, co będzie w jarze Janczarychy,
Gdzie teraz gołąb lub jelonek cichy,
Ze łzą przeczystą w szafirowym oku,
Gdzieś w księżycowym się przegląda stoku?
Czy wiesz, że wszystkie te się sprawdzą śnicia
W jednej godzinie rycerskiego życia?
Że zemścisz syna, ojca, matkę, brata
W tej błyskawicy, co na szabli lata?
Niech tylko serce rycerza, o Chryste!
Jako lilija będzie we krwi czyste,
Niech tylko wprzód nie splami zgryzota
Duszy, co jako ptak się w siłach miota;
Niechaj się tylko każdy dumnie waży
Złotym aniołem w ojczyźnie na straży:
To chyba w końcu na takich aniołów
Wróg będzie piorun miał w ręku — nie olów.

Rycerz, Zemsta

Aniol

¹⁵Wernyhora — legendarny śpiewak i wróżbita kozacki z XVIII w., wieścił rozbiory i odrodzenie Polski.
[przypis edytorski]

III

Jeśli pod tobą wolny koń stepowy,
Omijaj zamek ten i te parowy;
Niech cię nie wabi ten na zamku czole
Napis, co błyska od słońca na pole:
Bo to jest kłamstwo marmurów ohydne,
Złotem pisane i z daleka widne.
Uciekaj stepem przez burzanu¹⁶ fale,
Nie wierz napisom, nie zacieraj w sale,
Bo tam owionie i męstwo ci zetrze
Gorsze niż w grobach — zdradziectwa powietrze!
Gorsze niż dżuma, co zabija ciało!
Gorsze! — Choć pałac ten wygląda biało,
Choć za nim widać lipy starożytne,
Białe kościółki, jeziora błękitne;
Chociaż łabędzie śpią na tych jeziorach;
Choć róże stoją w jutrzeńki kolorach;
Chociaż słowiki mieszkają w topolach,
A dalej błękit i kłosa na polach:
Nie wierz zdradzieckiej natury obłudzie,
Ten zamek pełny — w tym zamku są ludzie!

Zamek

¹⁶*burzan* — zarośla stepowe. [przypis edytorski]

IV

Od czasu jeszcze dawnych Pelopidów,
Od wygaśnięcia rodziny Atrydów¹⁷
Nigdzie krwi tyle na gmachu kamieniach,
Nigdzie plam tyle od zbrodni w sumnieniach¹⁸,
Nigdzie rodziny tak czarnej nie było,
Tak czarnych prochów pod żadną mogiłą...
Chciałbym powiedzieć... W imię Ojca, Ducha!
Kto tak okropnej powieści wysłucha?

¹⁷Pelopidzi, Atrydzi (mit. gr.) — rody obłożone klątwą przez bogów. [przypis edytorski]

¹⁸*sumnienie* (daw.) — dziś: sumienie. [przypis edytorski]

V

Choć w zamku gości częstują wspaniale,
Gospodarz dawno nie schodzi na sale.
Niegdyś widziano go w gromadnym kole,
Jak trup wśród ludzi, jak upiór przy stole.
Zimne po sercach przechodziło mrowie,
Kiedy co mówił, gdy pił jakie zdrowie;
A gdy wziął kielich w rękę trupa, siłą,
W kielichu krew się zdawała, nie wino.
Każdy, co z gości do stołu zasiadał,
Nie znał go prawie, nigdy z nim nie gadał;
Gdy wszedł — nie wstawał nikt przed tym człowiekiem,
Choć orderami był srebrny i wiekiem;
Ani posłane z poselstwem od matki
Kiedy go w rękę całowały dziatki;
Jakby przed marą piekielną, szkaradną,
Stają przed ojcem zalęknione; bladną
I uciekają nie wyrzekłszy słowa
Lub kamienieją. Nie twarz to surowa —
Bo miłą miał twarz ten człowiek z natury;
Ani wzrok jego dziki i ponury —
Bo na swe dziatki patrząc lży miał w oku;
Lecz przerażenie z boskiego wyroku
Wisiało nad nim jako krwawa tęcza;
A gorzej — wiedział to sam, że odstręcza;
Że coś pomiędzy nim a światem stoi,
Czego się sługa, dziecko, słońce boi.
Więc już od dawna zaniechał z rozpaczą
Przepraszać serca, które nie przebaczą;
Ujmować dusze, co chcą nienawidzić;
A nie mógł nimi pogardzać i szydzić.
Nawet choć wiedział, że tłumną hołotą
Rzucał się sprośny lud na jego złoto,
Tak wielką znalazł pokorę w swej winie,
Że nie pogardził i otworzył skrzynie;
A wtenczas sercu jego biczem jędzy
Był brzęk liczonych po zamku pieniędzy.

Uczta

Strach

Rozpacz

VI

Nareszcie uciekł od ludzi i słońca.
A przy nim tylko jak anioł obrońca
Maleriki, błady i nierozkwitniony
Był smutny synek jego pierwszej żony.
To jedne dziecko przy nim czuwa, tleje,
Jako różyczka przy cedrze więdnącej.
On duszę ojca, gdy w rozpacz upada,
Szafirowymi oczkami spowiada;
I patrz! że czarny nędzarcz nie unika
Tak błękitnego grzechów spowiednika,
Ale mu z oczek cały błękit świeży
Pije oczyma i wzdycha, i wierzy
W ostatnią pomoc — w moc dziecka pacierzy.
Kiedyś za wczesnym zagrożoną zgonem
Dziewinkę swoją nazwał Eolionem;
Bo myślał, że ten kwiatek biały, kruchy,
Wezmą ze złotej kołyski duchy
I w nieśmiertelne zaniosą ogniska:
A więc mu nie dał ludzkiego nazwiska,
Ale powietrzne, duszy, nie popiołom
Imię, łatwiejsze wymówić aniołom.
Te dziecko jemu zostało przy boku
Ze łzą w źrenicy, z promionkami w oku,
Te czuwa przy nim. Lecz z wyroków Pana
Dusza w dziecięciu bladym obłąkana,
Smutna i z ciałkiem niedołącznym zwadna,
A w obłąkaniach jak aniołek ładna;
Gdy się uśmiecha — zda się, że do nieba;
Płacze — to myślisz, że mu tak potrzeba
Nad jakąś dawną pamiątką lub szkodą
Jak zapłakanej wierzbie stać nad wodą.
Tylko że ojcu, gdy mu dziecię zbladło,
W chorobie dziecka jest zgryzot zwierciadło;
Tylko że nieraz jakaś moc grobowa
Przekleństwo ojca kładnie¹⁹ w dziecka słowa;
Lub w obłąkane czynności dziecięce
Jakieś piekielne mieszają się ręce
I straszne rzeczy czynią dziecka mocą —
I dziś — gdy Wacław zasnął — przed północą...

.....

Dziecko, Ojciec

Szaleństwo

¹⁹*kładnie* (daw.) — dziś: kładzie. [przypis edytorski]

VII

Lecz gdzież jest młoda małżonka? grafini?
Czemu nie przy nim? Dawniej niewolnica,
Dziś samowładna w zamku monarchini;
Z kimże to błądzi po świetle księżycy?
Z kimże to słucha śpiewania słowików?
Dla kogóż rzuca ucztę, stołowników,
Dzieci i męża bezsenne wezglowie?
A jednak, mówią, dba o grafa zdrowie,
Sama przyprawia mu z lekarstwem czary.
Nieraz przy łożu jak ulotne mary
Staje powiewna z lampą w rękę, blada,
Słuchać, co śpiący o niej we śnie gada.
A mówią ludzie, że nieraz jej ręka
Słucha, czy serce się w chorym nie pęka;
Bo takie drgania mu piersi podnoszą,
Takie go zimne, straszne poty rosza,
Gdy śpi, a patrzy na śpiącego żona,
Jakby go anioł śmierci brał w ramiona.
Lecz dzisiaj z kimże na wieczornym chłodzie
Chodzi ta pani po mglistym ogrodzie?
Jeśli zbrodnicza miłość w sercu bije,
Ona się z taką miłością nie kryje,
Ale otwarcie, z bezwstydem na czole,
Kochanka sadza u boku przy stole:
Bo ten kochanek nie wybrany w tłumie,
Zwykle pochlebia jej skażonej dumie;
To jaki księżę, to króla powierny:
Pies nań nie szczeka, przepuszcza odźwierny,
Wszyscy go nawet witają ukłonem;
Zamek jest jego; łożem, domem, tronem
Władą; gdzie indziej podobny do węża,
Tu zdrajca panem jest żony i męża:
Więc to nie z gachem Dyjanna²⁰ grafini
Tajemne schadzki ma w ciemnej jaskini,
W grocie, co gładkim wyłożona brusem,
Szklanej²¹ kaskady zamknięta obrusem;
Szarfa ta wody lecąca z wysoka
Nie puści w grotę śledzącego oka
Ani księżycy — lecz przez nią przeleci
Czarna jaskółka, co w grocie ma dzieci,
Ta jedna kryształ skrzydłami rozcina;
Na wszystko miłość waży się matczyna.
Lecz noc — jaskółki śpią w gniazdach ukryte,
Lecz ciemność trwożną okryła kobietę²²;
Chociaż nie sama, drży jak liść osiny,
Kiedy się w gniazdach poruszają ptaszyny,
Gdy woda głośniejsz w kaskadzie zakrzyczy.
A ten powiernik kto? Duch tajemniczy?
Szata go długa w ciemności obielea,
Na głowie wianek stepowego ziela;
Na głowie, siwym porośniętej runem,

Żona

Czary

Sen, Śmierć

Zdrada

Ptak

²⁰Dyjanna — dziś: Diana. [przypis edytorski]

²¹szklanny (daw.) — dziś: szklany. [przypis edytorski]

²²kobietę (daw.) — forma z "e" pochylonym, wymawianym jako "i" lub "y", pozostawiona bez uwspółcześnienia z uwagi na rym. [przypis edytorski]

Wiąże się burzan czerwony z piołunem.
A przed nim kocioł, czary i amfory...
Ku jakiej sprawie? ku czemu przybory?
Czy klątwy rzucać, czy palić ofiary?
Czy zabić kogo piekielnymi czary?
Z jakim to widmem skandynawskiej Frei²³
Grafini dzieło zaczyna Medei²⁴?

²³Freja — nordycka bogini miłości i wojny. [przypis edytorski]

²⁴Medea (mit. gr.) — żona Jazona, morderczyni rywalki i własnych synów. [przypis edytorski]

VIII

Zaledwo pani wargę koralową
Pierwsze i drżące otworzyło słowo,
O nieba! leci jasnych światel krocie
Z pałacu, ciemną aleją, ku grocie,
I rozsypują się po drzew łańcuchu;
W ogrodzie pełno krzyku, blasku, ruchu.
Na cichej wodzie łabędź się poruszył,
Strzepotał, wody zwierciadlane skruszył,
Zapienił cały krąg zbudzony nagle,
Otworzył wszystkie puchy, pióra, żagle,
I znów spokojny spogląda wspaniale
Na rozchodzące się kręgami fale.
Tak silne serce posępnie się rzuci,
Kiedy go ze snu jaki grom ocuci,
Porwie się nagle, tłum spokojny zmiesza;
I widzi, jak się przerażona rzesza
Cofa, jak kręgi bladymi ucieka
Od rażonego nieszczęściem człowieka;
To wtenczas duma na pomoc przybędzie,
To wtenczas skrzydła się duszy łabędzie
Całe rozwiną przeciw wichrom losu,
To wtenczas serce jak z twardego ciosu;
I tym się nawet chelpi boleść sroga,
Że miała świadkiem walki — tylko Boga.
I tym się cieszy serce, choćby pękło,
Że zamiast podłych zlitować — przelekło.

Ptak

Dusza, Serce

IX

Ludzie, po drzewach szukający wszędzie,
Budzą słowiki i płoszą labędzie.
Już słyhać szmery, już wrzawa szalona,
Że graf otruty, że cierpi, że kona.
Wreszcie okropna wieść do grotty wpadła:
Powiernik zaśmiał się — a pani zbladła
I znów skościli oboje na długo.
Lecz kto by wtenczas ją widział z tym sługą,
Kto by ją widział, kiedy przez kaskadę
Blaski księżycy ją oblały blade,
Kto by w jej usta już nie korалowe,
Ale pobladłe, otwarte, surowe
Spojrzał i słuchał, gdy tak stała cicha,
Jak przez te usta serce w niej oddycha;
Kto by usłyszał, z jakim dzikim wrzaskiem
Wybiegła z ludźmi się spotkać i z blaskiem,
I z obwinieniem, co na każdej twarzy
Przy migającej się pochodni żarzy;
Kto by w tej chwili, nie zalane łezką,
Ale pięknnością jasne nadniebieską
Widział jej oczy, gdy je w gwiazdach trzyma
Albo o męża pyta się oczyma:
Ten by ją całkiem miał nie potępioną.
Zepsutą była, niewierną — lecz żoną.

Żona

X

Jedne tam okno na zamkowej sali
Od czerwonego księżycy się pali.
To właśnie okno grafówskiej komnaty,
Jak anioł blaskiem czerwonym skrzydlaty
Stoi na zamku, patrzy na katusze
I czeka, by wziąć z tego ciała duszę.
U bramy zamku tłum pobladły czeka.
Na drodze widać konnego człowieka,
Jak czarny szatan z płomykiem na głowie;
Otwierać bramy, nim się człek opowie!
Bo to nie diabeł ani żadna jędza,
To kozak pański konno wiezie księdza.
Będziesz pamiętał ty, księżu Prokopie,
Jak się kozaczy koń przez jary kopie,
Jak parska ogniem, jak daje szczupaka,
Choć ma na sobie księdza i kozaka.
Hej! hej! skrzypiąca brama się odmyka,
Kozak na koniu przywiózł spowiednika;
Przeskoczył diaków i bab bladych wianek,
Wziął go za kaptur i rzucił na ganek.
Sam idzie w tłumy, gdzie ponure gwary,
Że ktoś na pana rzucił śmiertne czary.
Kto? — Wszystkie oczy idą ku tej stronie,
Gdzie u grafini w oknie lampa płonie.
Wczoraj — widziano ją w grocie z wieczora
Nie samą — mówią, że trup Wernyhora
Przyszedł się pomścić za Lachów ojczyznę
I z grobu przyniósł dla pani truciznę.

Ksiądz

XI

Próżno ksiądz czeka u grafa podwoi,
Zamknął się Waclaw i ludzi się boi,
I z małym synkiem sam na sam się pieści.
Widziano pierwsze trucizny boleści,
Sam mówił ludziom, że otruty kona,
Potem służalców wygnał; nawet żona
Wejść się nie waży, gdzie spoczywa chory,
Bo sam ode drzwi zasunął zapory;
A bramę chyba wyłamać wypada,
Jak umrze. — U drzwi słuchają. — Graf gada.
Czasem się jakiś głoszek serafina
Niebieską skargą ojcu przypomina;
Czasem dwa tylko ciężkie odetchnienia,
Jakieś żalosne szmery i westchnienia;
I służebników tłum się niecierpliwi,
Bo słońce weszło — oni jeszcze żywi.
I dzień na strasznym zszedł oczekiwaniu,
Na skargach ojca, na dziecka płakaniu;
I księżyc weszedł, a ci dwaj straszliwi
W tajemniczości nocnej jeszcze żywi.
Śmierć ich mównymi uczyniła smutnie,
Ich głos w zamknięciu jak dwie zgodne lutnie.
Ci, co słuchali przez grube podwoje,
Mówią, że więcej tam głosów niż dwoje.

XII

Od dawna wieści są i poszept głuchy,
Że z grafem jakieś są po nocach duchy.
Raz go widziano, jak przez zamku cienie
Wodził za sobą dwa ciche płomienie,
Skrawe, czerwone, piekielne straszidła,
Mające oczy i włosy, i skrzydła.
Ścigany przez nie wybiegał z komnaty
Tylnymi drzwiami na ogród, na kwiaty;
I raz go z wody wydobyła zgraja;
Było to, mówią, w dzień trzeciego maja.
Widziano, jak biegł przez łąkę w zawody,
Ogień go, mówią, zagnały do wody.
Widziano, jak się topił cały błady:
Skądże ta rozpacz? i te ognioślady?
Gdy ziemia w nowe kwiaty się ustraja,
Gdy wszystko ciche w dzień wiosny maja?
A już to od lat wielu takie rzeczy;
Nikt nie przysięgnie i nikt nie zaprzeczy,
Wszyscy się boją wierzyć w takie dziwo.
W młodości, słyhać, zgrzeszył bardzo krzywo,
Dlatego piorun za nim się pomyka,
Owiewa skrami, straszy, lecz nie tyka,
Tylko grobowym okrąży zapachem,
Aby go zabić krwią albo przestraczem.
A mówią o tym ludzie z twarzą bladą
Dodają: Człowiek ten przewinił zdradą
I sam się dzisiaj chce karać za zbrodnie,
Sam przyzwał piekiel czerwone pochodnie;
A kiedy przyjdą i nad łóżem staną,
On się nakrywa chustą krwią zbryzganą;
W tej chuście niegdyś mu kozacka spisa²⁵
Podąła w nocy sąd na infamisa²⁶,
Gdy kraj zdradzony już był i rozdarty.
Ta chusta i te pargaminu²⁷ karty
Leżą przy łożu koło puginatu²⁸ —
Niech Bóg go broni w rozpacz od szału!
Biada! o biada, gdy przy łożu siedzie²⁹
Śmierci przyczyna i śmierci narzędzie.
To dość dla serca, co się samo dręczy —
Widm nie potrzeba — sumnienie wyręczy.
A rzecz straszniejsza! sumnienie Wacława
Nabyło nawet nad uspiętym prawa;
On w nocy wstaje i z otwartym okiem
Po zamku chodzi niesłyszczanym krokiem;
Czasem pochodnią sobie świeci nocną;
Oczy otwarte, wyiskrzzone mocno;
Lecz jakby co się roilo w zrennicy³⁰,
Ani w nich mgnienia, ani błyskawicy,

Duch

Grzech, Kara, Piekło

Oko

²⁵spisa — długa broń drzewcowa, pika. [przypis edytorski]

²⁶infamis (z łac.) — człowiek skazany na utratę czci i praw; przestępca, bezczestnik, zakazany. [przypis edytorski]

²⁷pargamin (daw.) — dziś: pergamin. [przypis edytorski]

²⁸puginat (z wł.) — krótki, wąski sztylet. [przypis edytorski]

²⁹siedzie (daw.) — dziś: siądzie. [przypis edytorski]

³⁰zrennica (daw.) — dziś: źrenica. [przypis edytorski]

Ani się światła bliskiego przelękną:
A gdy się wpatrzą w co — zda się, że pękną.

XIII

Znałem ja grafa Wacława za młodu —
Dumny z piękności, z wysokiego rodu;
Drzewo, co później mogło czekać zimy —
On tak wyglądał jak rycerz Solimy,
Piękny i straszny, kiedy go koń kary
Niósł do kochanki przez burzanów jary,
Kiedy na jakie powietrzne wołanie
Stawał obejrzyć się gdzie na kurhanie;
Myślałbyś wtenczas, że to anioł stepu
Pod błękitami niebieskiego sklepu
Stoi i czeka, aż wichur poruszy
Na jaką walkę skrzydła jego duszy.
Cóż się z nim stało? Czy to moich powiek
Mara? — Gdzie tamten anioł, rycerz, człowiek?

Rycerz

XIV

Smutny był koniec jego pierwszej żony:
Dostała wczesnie anielskiej korony,
Zamordowana, utopiona w stawie,
Gdy na wojennej był Wacław wyprawie.
Mówią, że obce pomściły się prawa
Śmierci synowej na ojcu Wacława.
Jeżeli tak jest? — o Chryste na męce! —
Jakie w tym rodzie serca! jakie ręce!
Mówią — że ojciec graf w turmę zamknięty
Umarł przed sądem — a drudzy, że ścięty;
Lecz takiej rzeczy myśl nie wierzy sama:
Na takim wielkim rodzie taka plama!
Tak wielka szyja złamana nad gminem!
Lecz ojcu nie mieć litości nad synem!
Ale zabójców nasłać na synowę
I za pieniądze móc odkupić głowę!
Gdy nieraz ołów ludzki się zagłębia
W serce orlicy i za śmierć gołębia,
Niktże tej śmierci pomścić się nie umie
Na krwi wysokiej? na wyniosłej dumie?
Niktże — prócz syna — co za te popioły
Ojcowi musiał miecz pokazać goły?
Tak się więc zbrodnia ogniwami winie,
Że ojciec własny wroga widzi w synie;
Albo umiera syna krwią czerwony,
Nie pożegnany i nie przebaczony;
Albo tak skąła syna pierś łabędzią,
Aby mu nie był czystszy ani sędzią:
Aż tam nareszcie stanie pochylony
Zdrajca narodu przed zbójcą swej żony;
Aż znowu wrócą pod zwyczajne prawa,
I od przedajnej głowy wyższa — krwawa.

Zemsta, Żona

XV

Ale to pewna, że śmiercią tej żony
Graf Wacław dziwnie na sercu zmieniony.
Ponurość ciemne okryła oblicze,
Serce zamknięte ludziom, tajemnicze,
Na czole duma. Gdy kto weń uderzył
Miłością czystą ojczyzny — nie wierzył.
Na wszystkie echa rozkoszy i jęku
Serce się jego już pozbyło dźwięku.
Coś ma cichego, okropnego w łonie.
Mówią, że myśli o polskiej koronie;
Króla w nim widzą przyjacielskie oczy,
Wielkość wysłędzą głos fałszu proroczy;
Jam go opuścił wśród tego zamętu
Myśląc: i cóż jest twardość dyjamentu³¹?
I cóż jest wierność grobowi, pamiątkom
W sercu najtwardszym? Jakimże to wrątkom
Daje się dusza unosić Wacława?
Chmurzy się niebo — burza będzie krwawa.
Więcej niż Boga ta dusza tajemna
Zamyka w sobie — przyszłość będzie ciemna!
Bogdajbym nie zgadł! lecz smutna w nim siła,
Miłość go tknęła, boleść nie zabiła;
Więc jeszcze nadto w nim miłosnej siły,
A już nikogo kochać — prócz mogiły.
O! kraj nieszczęsny, co jak spadkobierca
Po żonie weźmie dar strutego serca.
Ludu! przeżegnaj tę marę złowrogą!
Ona na scenę świata wchodzi z trwogą;
Myśli, że anioł ją rzucił obrończy,
Nieszczęściem zaczął — a piorunem skończy.

Władza

Miłość

³¹*dyjament* (daw.) — dziś: diament. [przypis edytorski]

XVI

A dziś — już koniec! Do Wacława gmachu
Weszła posepna królowa przestachu.
Czy go kto otruł, czy struła zgryzota —
Kona, a przy nim synek, róża złota,
Gwiazdeczka ranna, także więdnie, gaśnie.
A w zamku bójka, kradzieże i waśnie.
Ten bierze sprzęty, ten ściany odziera;
Zamek się niszczy, pan zamku umiera.
Gdzie żona? — Ona w najciemniejszej sali
Brylanty chowa i papiery pali;
Nie sama — Greczyn w Arnauta³² stroju
Leży na złotym wezłowiu w pokoju;
Jak sultan jaki wydaje rozkazy,
A nie powtarza wydanych dwa razy,
Bo go ta piękna słucha, myśl zgadywa³³,
I całuje go w ręce — nieszczęśliwa!

³²Arnaut — Daniel de Ribera Arnaut, poeta prowansalski z XII w. [przypis edytorski]

³³zgadywa (daw.) — dziś: zgaduje. [przypis edytorski]

XVII

„Dyjanno!” — Przyszła, stanęła w pokorze.
„Zrzuć teraz, piękna, te ślubne obroże,
Wypogodź teraz czoło lodowate.
Lubię tę chłopkę, tę polską Hekate³⁴;
A skoro tylko zabłyśnie Fingary³⁵,
Sam pójdę patrzeć, jak zamawia czary
I śmierć posyła ludziom z ciemnej groty”.

— „O Antynoe! już czuję zgryzoty,
A przecież śmierci męża jam nie winna.
Ona to! ona, ta kobieta gminna,
Musiała jakieś zemsty niepowzednie
Lub spełniać jakie chłopskie przepowiednie;
A gdy ja chciałam, by ta wiedźma z piekła
Czarę miłosnym zaklęciem urzekła:
Ona — o srogi i okropny błędzie! —
I może on mię trupem kochać będzie,
I z grobu przyjdzie po miłość umarły”.

Tu się powoli drzwi sali otwarły.
Struchleli nagle oba kochankowie;
Wszedł śpiący, z szmatą skrwawioną na głowie.

Czary

³⁴Hekate (mit. gr.) — bogini czarów, pokuty i zemsty. [przypis edytorski]

³⁵Fingary (mit. rzym.) — przydomek Artemidy, bogini utożsamianej z Księżycem. [przypis edytorski]

XVIII

Kto go tak ubrał? Nieraz synek mały,
Kiedy na ojca padał księżyc biały,
Widząc, jak w świetle twarz się grafa mroczy,
Dwie białe róże kładł ojcu na oczy;
Lub w obłąkaniu (o jasne i wdzięczne
Dziecka przysługi!) promienie miesięczne
Od ojca wzroku brał na swoje lica
I tak zesmutniał cały od księżycy.
A dziś — okropność! miałżeby Wacława?...
Przy łożu chustka ta leżała krwawa —
Miałżeby synek ten łachman grobowy,
Może z anioła ciemnego namowy
Na głowę ojcu?... O nie! ta czerwona
Chusta nie była w ręku Eoliona.
O nie! — przysięgam, święci aniołowie!
Syn nie położył mu tej krwi na głowie.
Bo mniej straszliwa byłaby ofiara,
Gdyby ojczyzny samej przyszła mara
Zajrzeć w lekarstwo zaprawne piołunem
I zdrajcę takim nakryła całunem,
Aby raz jeszcze, nim go Bóg obudzi,
Czerwono wrył się w pamięci u ludzi.

XIX

Cóż to? Czy serce w tej kobiecie pękło?
O marmur czoło uderzyło, jękło,
Kość zadzwoniła, gdy czołem upadła
Przed same nogi groźnego widziadła,
I dziwnie... zadrżał, oczyma nie mignął,
Lecz cały zadrżał i cały się wzdrygnął,
I stanął chwilę we śnie, zadziwiony,
Jakby usłyszał skąd o śmierci żony.
Lecz chwilę tylko chwiał się jak na szali,
I nie obudził się — i poszedł dalej.

XX

Sen to czy mara jaka niezbawiona?
Krzyczą po zamku, że grafini kona.
Nie dowiedzieć się, z czego, u Greczyna,
Krew w nim zastygła, zimny jak gadzina;
W pochodni światło obłąkany patrzy,
Chłodny jak kamień, od marmuru bladszy.
Grafini kona — mówią — on nie słyszy.
Złękli się ludzie jego trupiej ciszy,
Trącają — milczy jak widmo zakłęte,
Usta ma drżące, zęby mocno ścięte;
Wzięli, zimnego zanieśli na łożo.
Co się w tym zamku stało? Wielki Boże!
Tu śmierć nie czeka zwyczajnej kolei.
Grafini, mówią, była przy nadziei;
Wszyscy widzieli i tłum cały pyta,
Czy jeszcze żyje, czy z dzieckiem zabita.

XXI

Patrzaj! tam słońce nad dniewrowe skały
Wyrzuca świetne brylantowe strzały.
Kwiaty ze łzami się podnoszą wdzięczne,
Tam w błękit czoło chowa się miesięczne;
Sarneczki złote na kurhany skaczą,
Róże się polne otwierają, płaczą,
Orzeł na krzyżu z rosy skrzydła trzepie.
Jaki spokojny wschód słońca na stepie!
Tylkoż w tym zamku złote słońce budzi
Z przerażonego snu pobladłych ludzi!
Tylkoż w tym zamku otworzą się oczy,
Które przed nocą mgłą śmierci zamroczy!
Na toż więc było na ten świat przychodzić
Cierpieć, miłować, nienawidzić, szkodzić:
Ażeby wreszcie słońce dawno znane
Weszło, ostatnie — i nie zapłakane.

XXII

Graf Waclaw woła. Wybito podwoje,
Wchodzą. Czy trupów powalonych dwoje?
Graf Waclaw, przy nim synaczek maleńki —
Zbledli — graf woła księdza i trumienki —
Wyszli; pojechał kozak do stolarza.
Do grafa — księdza wzięto od ołtarza.
Ksiądz ten pocieszać umiał nieszczęśliwe;
Spokojne lice i włosy miał siwe.
Obudził ojca, wziął go pod ramiona,
Postawił, krzyż mu przycisnął do łona,
Na złote słońce obrócił go twarzą,
Na róże, co się pod oknami żarzą;
Słońce i kwiaty, czy boską mu chwałę,
Czyli dzieciątko te przypomną małe:
Dobrze, bo przerwą posępne rozpacze,
Bo może westchnie, przemówi, zapłacze?
Nie, stoi martwy, twarz mu się nie mieni:
Tak w brylantowym powietrzu jesieni
Stoją bezlistne drzewa w szronu szacie
I zadumane jak po jakiej stracie.
I przyszli ludzie z gotową trumienką;
Ksiądz się obrócił i znak im dał ręką,
I wzięli trupka, po cichu wynieśli.
Ojciec nie słyszał tych ludzi — a jeśli
Słyszał, to udał dziwną licem chłodność,
Ostatnią dumę w nieszczęściu — łagodność.
I postradawszy tę dziecinkę drogą,
Już nie zapytał się o nią nikogo.
I tak był długo bez myśli, bez czucia,
Jak trup, nim dzieło zacznie się zepsucia.
Ksiądz złożył ręce na piersiach i czeka
Na smutną spowiedź grzesznego człowieka.

Ksiądz, Trup

Spowiedź

XXIII

Usiadł... ksiądz słucha... on usty drżącemi:
„Księżę! skończyłem już wszystko na ziemi.
Patrzaj! czy widzisz ten komin i tygły?
Bóg mię ukarał srogo, niedościgle;
Wiem, co w tej czarze było — o anioły!
Ogień miłosny i ludzkie popioły.
Wypiłem z moim synkiem przez połowę,
Co? Może ojców mych resztki grobowe?
Strasznie pomyśleć, kto napój przyprawił,
Co mię otruło, jaki się duch zjawił,
Aby mi dzisiaj po nocy powiedział,
O czym grobowiec dotąd tylko wiedział.
Cóż to za zemsta? Jacy to nieczuli,
Co zdrajcę prochem antenatów struli;
Tym czystym prochem zdradzonym nikczemnie,
Co się trucizną stał, gdy wstąpił we mnie.
A jakąż to myśl mieli ci mściciele,
Uśpione czucia budzić w moim ciele,
Żyły nalewać znowu krwią namiętą,
Zbudzić to serce, gdzie zgryzoty piętno.
Wiedzieliż oni, co ogień poruszy
W czarnym sumnieniu, w pokalanej duszy?
Jaka rozogni się w krwi mojej zgniłość?
Co wyjdzie na jaw? — Zaprawdę, nie miłość,
Ale zgryzotę zbudzili i pychę;
Przekłęci! Serce już tak spało ciche!
Już tak popiołem i pleśnią nakryte,
Już tak spokojne! już takie zabite!
A teraz znowu krwią nalane wściekłą;
Boleść w nim, burza, pioruny i piekło,
Wszystko, co ludzi przerażało trwogą,
Ale nie miłość — co kochać? i kogo?
Ach, gdyby nawet z grobu wywołani,
Gdyby ta nawet moja pierwsza pani,
Ta najkochańsza, najśłodsza, umarła,
Wstała — to serce by moje rozdarła;
Płakałbym może i z cierpień się skarżył,
Alebym kochać już nie mógł — nie ważył;
Bo na to trzeba jaśniejszej godziny
Niż starość ludzka pełna krwi i winy,
Co jako skrawy, chmurny zachód słońca
Otwiera niebo bez Boga, bez końca.

Trucizna

XXIV

„Księżę, są o mnie haniebne powieści,
Nie wierz im wszystkim. Bez sławy, bez części,
Nie jestem takim, jak ludzie niewinni,
Ależ ja więcej cierpiałem niż inni,
Ale ja większe miałem serce w sobie
Do nakarmienia... Tam małżonka w grobie,
Tam ojca sądzą mojego, o zgroza!
Na śmierć haniebną, na karę powroza.
Mój teść otrzymał wyrok nie ojczysty...
Mój ojciec, mój ród dawny, dumny, czysty,
Wszystko to jedna godzina obbali! —
Dzisiaj to wszystko ważyłbym na szali,
Dzisiaj bym wołał, o Boże! przed gminem
Powieszzonego się nazywać synem;
Lecz wtenczas, z hańbą grożone zamęściem,
Mój ojciec, mój ród, moje imię!... Szczęściem
Mój ojciec umarł — tak jak był powinien...
Czemuś ty, księżę, zadrzał? Jam nie winien...
Że mię widziano tej nocy przy turmie³⁶
W księżycowego wichru dzikim szturmie?
Na zapienionym żem uciekał koniu,
Żem pędził z głuchym tętentem po błoniu,
Że ojca mego we krwi znaleziono
Nazajutrz?... Księżę! rozedrzyj mi łono
I obacz serce, nim pójdę do trumny,
Bo mówię prawdę — lecz przysiąc za dumny.

³⁶turma — więzienie. [przypis edytorski]

XXV

„Jestem nie winien, ale nie wiem czemu
W pamięci jestem podobny winnemu.
Bo wyznam tobie, że tej śmierci żądał,
Nawet spodziewał się, czekał, wyglądał;
Bo i wieść o niej chwyciłem łakomą
Myślą, lecz zimno — jak rzecz już wiadomą.
Coś we krwi miałem, coś w myśli ustrzegło,
Co mi o śmierci tej pierwej przysięgło.
To kiedy przyszli zwiastować mi smutni
Ludzie, co chciwi męczyć i okrutni
Lubią posępnych słów oglądać skutek,
Wzgardziłem dumnie pokazać im smutek;
Lecz pokazałem lice zimne, szczere,
Już podniesione nad zwyczajną sferę;
Już w tej krainie cichej, wewnętrznej burzy,
Gdzie nawet czoła śmierć ojca nie chmurzy,
Ale przechodzi wszystko ziemskie, mija,
Jady nie trują i miecz nie zabija.
Pokazałem im tę niezmienną czoła,
Które zmroziło dotknięcie anioła.
Wytłumaczyli to ludzie inaczej,
Ten marmur bólu — tę ciszę rozpaczy.

XXVI

„Ty wiesz, że dumni nieszczęściem nie mogą
Za innych śladem iść tą samą drogą.
A gdy się duma z nieszczęścia wylęgnie,
To i Bóg czoła takiego nie sięgnie,
To nawet wiara nie pochyli głowy;
A cóż dopiero piorun, miecz, okowy,
A nawet ludzkie przekleństwo i wzgarda:
Tak była ciemna, taka była harda
Duma w tym sercu. Na co mnie przywiodła,
Ty wiesz — lecz duszy nie sądz, bo nie podła.
Jam się nie rzucił jak koń do zawodu,
Ja sam stanąłem przeciwko narodowi,
A gdym się oprzeć musiał w rzeczy ciągu,
To się na wielkim oparłem posągu.
I nie szukałbym był podpory wroga,
Gdybym większego znalazł w sercu — Boga.

Cierpienie, Duma

XXVII

„Nie uniewinniam ja siebie, o księżu!
Jakie mię gryzły tu w tej piersi węże,
Jakie po nocach walki obłąkane
Z pamięcią, dumą, zaczęte, wytrwane,
Aż sumnieniowi³⁷ uczynilem zadość:
Świadczą te oczy, te czoło, ta błądź.
O! trzeba było siadać nad mym łóżem,
Gdy we śnie serce mi coś prulo nożem;
Gdy się budziłem w noc bezksiężycową
W ciemności, ze krwi piorunem nad głową
Albo widm okiem do łoża przybity,
Zimny, i łzami, i potem okryty,
Nie wiedząc, czemu serce drży boleśnie.
Mówią, że chodził po pałacu we śnie,
Nie wiem, lecz nieraz, gdy sen ciężki spadał,
Możem wstał, chodził, płakał, jęczał, gadał,
Możem z krwi rękę o rękę ocierał,
Możem zabijał i trumny otwierał,
Możem się dzielił z kim jaką mogiłą,
Nie wiem: — bo o tym mi się wszystkim śniło...
I nawet dzisiaj na mnie krew czerwona
Na głowie... Gdzie jest moja druga żona?...

Sen

³⁷sumnieniowi (daw. forma C) — dziś: sumieniu. [przypis edytorski]

XXVIII

„Stój! stój! Nie szukaj tej kobiety, ojciec.
Od innych ciosy okropne, zabójcze,
Lecz od niej gorsze ja rany poniosłem.
Ona zrobiła, że śmierć kraju zniosłem.
Anioł piękności i wróg nieodstępny,
Stała, gdy z hańbą walczyłem posępny.
Com cierpiał w sobie i com czuł — nie czuła,
Co w sercu moim zmartwychwstało — struła,
Aż przyszło wreszcie, że dziś, jędrza blada...
Lecz z tego niechaj ona się spowiada,
To na jej sercu, to je kiedyś zrani —
Patrz! ja ten ogród zasadziłem dla niej,
Te drzewa, łąki, tam niby w oblędzie
Strumienie i na błękitach łabędzie,
I ta z marmuru Karary łaźienka,
To dla niej... Patrzę i serce mi pęka;
Bo to zostanie po mnie wszystko — długo...
O! gdybym to mógł jaką krwawą strugą
Zalać i zniszczyć, i duszę wyzionąć,
I z zamkiem, i z nią, i z wszystkim utonąć;
Zostawić gruzy leżące na pował,
Których by człowiek nie znał, nie żałował,
Nie myślał o mnie tu błędząc, nie gadał,
Że tutaj zdrajca chodził, dumał, siadał,
Tu się śmiał z Boga, a tutaj łzy ronił;
A tu się w grocie kaskadą zasłonił
Bojąc się słońca, co tę ziemię złoci,
I żył jak węże w zimnie i w wilgoci.

Mąż, Żona

XXIX

„Miłość ojczyzny — o! to słońce świetne
Dla serc, co dumne, sieroce, szlachetne,
Całe się czystym miłościom oddadzą.
Jako żurawie, co łańcuch prowadzą,
Świetniejsze serca wylatują przodem;
Umrą — ich duchy lecą przed narodem,
Ich wrzask, ich imię, ich lament to hasła.
Gdy matka po nich zapłakana wrzasła,
Ojczyzna cała słyszy, leci, mści się;
W gołębiach wtenczas są serca tygrysie.
Umrą wygnani — to naród wysła
Posłów zapraszać, niech wróci mogiła.
A choćby nawet zapomnienie, nędza,
Jednego pacierz nad mogiłą księdza
I wieczna cisza w grobie nieplakany.
O! ja zazdrozczę tym czystym, nieznanym,
Ja, co się aż tam, aż do słońca darłem —
O czemu ja też dzieckiem nie umarłem!?
Czemu!?... Ach wtenczas, księżo, nie dla sławy,
Lecz przyleciałem był raz na bój krwawy,
Ażeby umrzeć. — Na Boga żywego,
Ja bym się teraz nie miał chępić z czego...
Szyki się były pod Maciejowicą³⁸,
Wleciałem ściśle zamknięty przyłbicą;
Dziwny był ubiór, ale to miał zyskiem,
Że nie witano mię zdrajcy nazwiskiem,
Wreszcie i harmat zakryłem się błyskiem;
I smutny w sobie wpadłem we krwi morze.
Słyszałeś o tym żelaznym upiorze?
Długo to było między ludźmi sporem,
Kto był tym w ogniu rąbiącym upiorem.
O śmierci! ludzi tysięcznych morderca!
Nie chciałaś wtenczas tej krwi, tego serca.
Lont nie chciał harmat przede mną zapalać;
Kule się bały we krwi mojej zwałać,
Lecz omijały świszcząc koło ucha;
Miecz mój po kaskach dzwonił jak miecz ducha.
Los miał okropną zbawić mię bezczelność,
Jam był ubrany w straszną nieśmiertelność.
Jaka w tym wola boska, nie odgadnę
I nie chcę myśleć — lecz gdy myślę, bladnę.
Sam na tym polu, gdzie psów wściekłych kupa,
Na koniu, na kształt siedzącego trupa,
Gdy z ciał wychodził obłok krwawy, dymny,
Gdy księżyc wschodził straszny, blady, zimny,
Stałem; wtem jeden z niedomarłych, blisko,
Wymówił moje przeklęte nazwisko;
Schylałem się z konia — patrzę: krwią się broczy,
I krew mi swoją ten człek rzucił w oczy...
Dobylem miecza — o! nie bladnij, księżo —
Choć syknął na mnie ten gorzej niż węże,

Miłość, Ojczyzna

Walka

Nieśmiertelność

³⁸Maciejowica — właśc. Maciejowice, wieś znana z bitwy między wojskiem polskim pod wodzą T. Kościuszki a wojskami rosyjskimi w 1794r., podczas insurekcji kościuszkowskiej. [przypis edytorski]

Chociaż mię taką pieczęcią naznaczył,
Jam go nie dobił — alem nie przebaczył.

XXX

„Księżę... gdzie teraz Kościuszko? — W mogile!...
Kiedy żył jeszcze, były takie chwile,
Żem ja był wrogiem jego świetnej sławy.
Chciałbym dziś widzieć cień jego postawy
Albo grobowiec przy białych lawinach;
Musi być smutny nad nim szmer w drzewinach;
Smutne tam duchy błądzą w księżyc świetny
Wołając: Ojczy — choć on był bezdzietny.
Mówią, że idąc za trumny orszakiem,
Koń jego stawał przed każdym żebrakiem,
Tak nauczony za życia rycerza.
To wszystko, księżę, serce mi rozszerza
Łez pełne, burzę zapowiada ciemną...
Patrzaj, co stało się z nim — a co ze mną!...

Rycerz

XXXI

„Obróć tu, księżu, twe łzawe oblicze.
Ileż ja w życiu chwil okropnych liczę!
Słuchaj, po śmierci kraju, już zhańbiony,
Dom odwiedzałem mojej pierwszej żony.
O! co ja czułem, gdy lip poczet stary
Zaczął nade mną swoje smutne gwary,
Kiedy się miesiąc w liść zabląkał szumny...
Ja, co tam żyłem młody, jasny, dumny,
Z nią razem, ojczu! Ja, co w tej krainie
Myślałem niegdyś, że młodość nie minie;
Wchodzę... trzy razy wspomniałem o Bogu,
Trzy razy, blady, przejść nie mogłem progę.
Przeszedłem wreszcie — w komnatach nikogo...
Ściany się zdały napelnione trwogą,
Że mię tam widzą samego w ciemności;
Ale w powietrzu jakiś szmer litości
I coś szeptało: „Nie płacz”, z każdej cegły;
A mnie ogromne łzy po twarzy biegły.
Na coż to przyszedł ów Wacław wyniosły?
Chwasty go same w tym gmachu przerosły.
Sam — o! bogdajbym był sam, o! zhańbienie!
Starzec wychodzi w księżycu promienie,
Poznają — mój teść... przy niepewnym świetle
Widzę, że w ręku ma jakieś zawicie;
Twarz jego dzika, okropna, surowa;
Rozwija — patrzę — ojca mego głowa!...
Po śmierci zemsty bezczelnej dokazał,
Wyjął z mogiły trupa i ściąg kazał.

Trup

XXXII

„To tak mi starzec zwiędłe serce kruszy,
To tak anielstwo wypędzono z duszy,
To tak myśleli, że mię zdeptać mogą;
Aż się od hańby obroniłem trwoga...
Lecz nie pomogło... bo jak od zwierciadła
Od ludzi trwoga ta na mnie upadła.
Bo wyschły jak trup, po uczuć pogrzebie
Jąłem się lękać nie Boga, lecz siebie.
Więc niech się skończy ten los, co mi ciąży,
Niech w nieskończoność dusza się rozpręży;
Wszystko straszliwe, co się w serce ciśnie,
Niech się jak piorun wyrwie i rozbłyśnie.
Niechaj część każda pokalanej duszy
Dozna właściwych bólów i katuszy;
Lecz niechaj wszystko to w jednym mordercu
Zamknięte, w jednym nie gryzie się sercu.
O! były chwile okropne na świecie!
I ta noc!... Księżo, pociesz ty mię przecie;
Czy ty lzy tylko masz dla mnie pacierzem?
Dla mnie, co stoję nad śmierci wybrzeżem,
Co tu widziałem pełną tajemnicy
Śmierć w synka mego błękitnej źrenicy.
Okropność! jego usteczka różane,
Miłością jakąś obłąkane, pjane³⁹,
Z ognia oddechem, z lutniowymi gwary,
Pocałunkami tu goniły mary.
Widziałem moje sny młodości złote,
Zachwyty, miłość, niepokój, tęsknotę,
Wydane dziecka niewinnym obliczem;
Lecz on kochał nic, on tęsknił za niczem,
A jednak tęsknił i kochał. Widziałem,
Jak się w coś wpatrzył z obłąkania szalem.
Myślałem — biedny! czego się on męczy?
Łabędź w jeziora zakochał się tęczy,
Umarł, nim zgasła, nie doczekał nocy.
Lecz ile było w nim ognia i mocy!
Jakie wyrazy tęskne, smutne, śliczne,
Długo-echowe i melancholiczne
Z ust mu jęczały! Była jedna chwila —
Myślałem, że mu skrzydelka motyla
Z ramion wyrosną, że główka zaświeci
Ogniem niebieskim i w niebo uleci;
Bo na paluszkach wstał, rosnął w człowieka;
Myślałem, że już ode mnie ucieka —
Wrócił... przy nogach mi go ból pokonał.
W godzinie jednej kochał, cierpiał, skonał.
O! cud okropny! co iskrę słoneczną,
W serduszku dziecka zamknął miłość wieczną
To, co ja dotąd w moim sercu mieszczę.
To go zabiło — a ja cierpię jeszcze!
I jeszcze kocham i widzę to jawniej
W sercu, przed śmiercią, że kocham jak dawniej.
Tu! z krzyżem, księżo! tu stawaj u czoła!

Śmierć

³⁹ *pijany* (daw.) — dziś: pijany. [przypis edytorski]

Niechaj myśl moja tych snów nie wywoła.
Niech nie przychodzi tu jej cień bladawy...
Przyszła! — tam za nią stoi ojciec krwawy,
Włos jego siwy — o! to męki moje
Ta para, ludzi tych w powietrzu dwoje.
A jednak twarze to może jedyne,
Co odpuszczają mi hańbę i winę,
Co widząc dolą znękanego twardą,
Jak inni ludzie nie patrzą ze wzgardą.
Maryjo! nie idź za księżyc się chować,
Dobrze, żeś przyszła się tu ulitować,
Dobrze, żeś mi się duchem pokazała
Taka posępna i cicha, i biała,
Jak gdyby za mną w mogile tęskniąca.
Maryjo! czekaj zachodu miesiąca,
Pójdziemy razem — gdzie? — ja nie wiem. — Księżo,
Wkrótce me ciało już ziemię zalęże,
Na długie słowa już mi braknie czasu.
Każ uszyć nową jej suknię z atlasu,
Każ włożyć wianek z róż świeżych uwity,
Niech ją obmyją, ubiorą — kobiety...
Pamiętaj... trumna to od wejścia czwarta...
Patrz, jak ta szata już na niej podarta...
Czy dobrze? — Zrób to, nim promienie świtu...
Patrz! uśmiechnęła się na to z błękitu.

Matka Boska

XXXIII

„Nie mów nikomu o mnie, sługo boży,
Niech mój grobowiec ludzi długo trwoży.
Weź i tę chustę... choć krwią powalana,
Możesz ją złożyć przed ołtarzem Pana
Albo... Dlaczegoś drgnął przed tym rozkazem?
Powieś tę chustę przed Panny obrazem,
Musi być święta ta krew, co ją broczy,
Bo mi ją kiedyś naród rzucił w oczy.
Więc te męczeństwo poblądłego czoła,
To mój ostatni jest dar dla kościoła.
I jam coś ciernia czuł w mojej rozpaczce,
Może Bóg wspomni na to i przebaczy.
Żalu mojego najlepszą jest próbą
To upodlenie się moje — przed sobą.
Co będzie z moim duchem nad mogiłą?
Pewnie nie gorzej jak to, co już było.
W dumie mej jeszcze przynajmniej znachodzę⁴⁰,
Że mię przed śmiercią broni ulec trwodze,
Gdy przy tym łożu nic, tylko rozpaczce.
Gdyby mniej dumny, płakałbym — nie płacę;
Lecz coś jest we mnie, gdy w grób muszę wchodzić,
Z czym by się żadne lzy nie mogły zgodzić:
Wściekłość na siebie, żar, co się nie studzi,
A nawet, księżo, jakiś żal do ludzi:
Jak gdyby oni byli winni z dawna,
Że się krew we mnie zaczerniła sławna.
Lecz nie — i myśl ta nie może pocieszyć. —
To wszystko... Księżo, czy śmiesz mię rozgrzeszyć?
Olej, co czyni w Bogu śmierć wesolą,
Czy się odważysz lać na zdrajcy czoło?
Jam nie żałował i nic nie naprawił;
Kraj jeszcze we krwi — a jam go zakrwawił;
I długo będzie ta krew po mnie płynąć;
Tysiące walczyć i tysiące ginąć,
Po mnie nieszczęścia, więzienia i wojny —
I mógłbym ja w grobie spać spokojny?
O nie! nadzieja jest szaleństwem dla mnie —
A jednak — starcze, ty! módl się ty za mnie!”

Duma

⁴⁰znachodzić (daw.) — znajdować. [przypis edytorski]

XXXIV

Graf Waclaw skonał. O! domysłów płonność!
Na lice wyszła trucizny zieloność:
Ale krew jego już dawno zepsuta;
Ciągła samotność, lzy, wzgarda, pokuta,
To nieraz także te trucizny duszy
Wyjdą na ciało zwiędłe od katuszy
I nieraz lice trupowi odmienia,
Połamią, poskrzą, zsinia, pozielenią:
Więc może i te splamienia Waclawa
Nie z gwałtu poszły, lecz z natury prawa;
Lepiej tak wierzyć niż oskarżać ludzi.
Niech się podstępna ciekawość nie trudzi;
Gdy ziemia z siebie rzecz przeklętą zrzuci,
Niechaj spokojność w tłum zmieszany wróci.
Lecz nie, ten zamek wre skargą i gwarem,
Domysły rosną z niepokojem, swarem,
Mówią, że pani chciała ukryć winę,
Mówią, że miała otrucia przyczynę —
Jaką? — Nie można wierzyć w takie baśnie.
Miałaby otruc małżonka — a właśnie
Zadatek nowej miłości i wiary
W jej łonie — po cóż przy kołysce mary?

Śmierć, Trup

XXXV

Po ukraińskich stepach syczą źmije,
Pogrzeb się czarny z pochodniami wije,
A za pogrzebem groźny wichur wyje.
Smutno, posepnie przez kurhany płynie
Pogrzeb możnego pana w Ukrainie.
Z każdej mogiły ognista kolumna
Wytryska w niebo, gdy nadchodzi trumna.
Już przeminęła, a jeszcze czerwono
Wszystkie kurhany w Ukrainie płoną
I rozmawiają cicho o pogrzebie.
Gwar na tym stepie, a cisza na niebie.
W ziemi grobowej głucha trupów wrzawa,
Bo między nimi stanął trup Wacława.

Pogrzeb

XXXVI

Człowiek? czy widmo? — Jakiś duch z burzanu
Wyszedł na czoło ogniste kurhanu,
Pogroził ręką: „Zdrajco! otóż tobie
Trucizna w przodków wypróchniałym grobie.
Idź, trumno czarna z ohydnyim człowiekiem,
Z trupem, co moim wykarmiony mlekiem.
Idź w ogień piekła za narodu zdradę!
W kołyskę kładłam i w prochy cię kładę.
Dzieciatko moje ty i moja zmijjo,
Ziemia cię zmrozi, robaki spowiją.
A choć krew twoja kiedyś winę zmaże,
Tego ci Pan Bóg zwiastować nie każe.
Choć Ukraina kiedyś zmartwychwstanie,
Ty się nie dowiesz w piekle, ty szatanie!
Nic się nie zmieni, wieczność się zaczyna,
A wieczność taka jak śmierci godzina”.
Tak pożegnawszy resztki pana zgniłe,
Zapadła wiedźma w burzan czy w mogiłę.

Zdrada

XXXVII

I znów na zamku jasných światel krocie,
Księżyc w ogrodach, szum kaskady w grocie;
I znów tam cicho, i kaskada grzmiąca
Znowu się srebrzy na blasku miesiąca.
Mówią, że łabędź i róża czerwona
Szepcą w powietrzu imię Eoliona,
Gdy wszystko ścichnie wieczorną godziną,
Gdy róże płaczą i łabędzie płyną.
A o dzieciątku tym z twarzyczką ducha
Została jakaś ciemna powieść, głucha.
Mówią, że raz go widziano w tej grocie,
Całego w gwiazdach, w promienistym złocie;
Duchy powietrzne za tęczową szarfę
Przyniosły jemu zapaloną harfę;
Usiadł... do ognia strun przybliżył ręki:
A pierwsze z harfy westchnienia i dźwięki
Zwołały wszystkie łabędzie z ogrodu;
A drugie tony jak jęki narodu,
Co cicho konać i cierpieć nie umie,
Zrobiły szelest w tym łabędzi tłumie;
A gdy śpiewaka pieśń i tony rosły,
Wszystkie się razem łabędzie podniosły
I poleciały płaczącym orszakiem
W niebo gwiazdziste, z harfą, ze śpiewakiem,
I znikły, długo widziane na górze,
Jak girlandami spięte białe róże,
Ulatujące w niebieskie krainy,
Dostłuchać harfy tej i tej dzieciny.
Nie wiem, czy wierzyć — lecz cudy są wszędzie...
I odtąd znikły w ogrodach łabędzie,
I szafirowych wód nie krają łonem,
Bo poleciały wszystkie z Eolionem.
A Bóg nam wieszczów zostawiać nie raczy,
Odkąd zabrakło już białych słuchaczy.

Muzyka, Ptak

KONIEC

W Szwajcarii

I

Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty.
I nie wiem, czemu ta dusza, z popiołów,
Nie wylatuje za nią do aniołów?
Czemu nie leci za niebieskie szranki,
Do tej zbawionej i do tej kochanki?

Dusza, Tęsknota

II

W szwajcarskich górach jest jedna kaskada,
Gdzie Aar⁴¹ wody błękitnymi spada.
Pozwól tam spojrzeć zawróconej głowie.
Widzisz tę tęczę na burzy w parowie?
Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza,
Nic ją nie zburzy i nic ją nie zmiesza;
A czasem tylko jakie białe jagnię
Przez tęczę idzie na skraju doliny
Szczypać kwitnące róże i leszczyny;
Lub jaki gołąb, co wody zapragnie
Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,
Przez tęczę szybko przeleci i błysnie.
Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,
Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca;
Tak jasną była od promieni słońca!
Tak pełna w sobie anielskiego świtu!
Tak rozwidniona zrennicą⁴² z błękitu! —
Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
To zakochały się w niej moje oczy;
A za tym zmysłem, co kochać przymusza,
Poszło i serce, a za sercem dusza.
I tak się zaczął prędko romans klecić,
Że chciałem do niej przez kaskadę lecić;
Bo się lękałem, że jak widmo blade,
Nim dusza ze snu obudzona krzyknie,
Upadnie w przepaść, w tęczę i w kaskadę
I roztopi się, i zgaśnie, i zniknie;
I byłem jak ci, co się we śnie boją,
Bo jużem kochał, bo już była moją.
I tak raz pierwszy spotkałem ją samą
Pod jasną tęczy różnofarbnej bramą;
Powiew miłości owiał mię uroczy.
Stanąłem przed nią i spuściłem oczy.

Miłość

⁴¹Aar — właśc. Aare, rzeka w Szwajcarii. [przypis edytorski]

⁴²zrennica (daw.) — dziś: źrenica. [przypis edytorski]

III

Poszedłem za nią przez góry, doliny,
I szliśmy razem u stóp tej lawiny,
Gdzie śnieg przybiega aż do stóp człowieka
 Spłaszczoną pletwą jak delfin olbrzymi;
 Para mu z nozdrza srebrzystego dymi,
A Rodan z paszczy błękitnej ucieka.
 Pamiętam chwilę... poranek był skwarny.
Tameśmy szmerem spłoszyli dwie sarny;
Te, jakby szczęścia ludzkiego świadome,
Stały blisko złote, nieruchome;
I utopiły oczów błyskawice
W kochanki mojej błękitne zrennice;
I długo patrząc, nieruchome obie,
Głowy promienne pokładły na sobie.
Rzekłem: „One się zakochały w tobie!”
Rzekłem — i za to z ust zamkniętych skromnie
Najpierwszy uśmiech jej przyleciał do mnie,
Przyleciał szybko i wrócił z podróży
Do swego gniazda, do pereł i róży;
A gdy zobaczył, że oczów nie mrużę,
Całą jej białą twarz zamienił w różę.
A wiecie? ani tak za serce chwyta
Rumieniec kwiatu, co świeżo rozkwita;
Ani tak oko wędrowca zachwyca
Gór nadalpejskich śnieżysta dziewica,
Kiedy od słońca różane ma lica,
Jak ten rumieniec bez wstydu i grzechu,
Co się na twarzy urodził z uśmiechu.

Zwierzęta

IV

Szczęście

Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami,
I nie wiem, czy tam była łódź pod nami;
Bom z duchy prawie zaczynał się bratać,
Chodzić po wodach i po niebie latać;
A ona tak mię prowadziła wszędzie!
Ach! ona była jak białe łabędzie,
Była jeziora błękitnego panią;
Płynęła lecąc — łódź leciała za nią,
Za łodzią jasność szafirowym szlakiem,
 Za tą jasnością rybek korowody,
 I wyrzucały się aż do niej z wody;
I z takimeśmy płynęli orszakiem
Uśmiechając się w błękitu krainie.
Bo ona była jak wodne boginie:
Miała powozy z delfinów, z gołębi,
I kryształowe pałace na głębi,
I księżycowe korony w noc ciemną...
I mogła była⁴³, co chce, zrobić ze mną.

⁴³*mogła była* — dawna forma czasu zaprzęzłego, oznaczającego czynność wcześniejszą od przeszłej; dziś: mogła. [przypis edytorski]

V

Raz — że nie była niebieskim aniołem,
Myślałem całe długie pół godziny;
Wyspowałem się potem z tej winy —
Słuchajcie! — Oto przed Tella kościołem
Pierwsza na kamień wyskoczyła płocha
I powiedziała mi w głos, że mnie kocha,
I odesłała mnie znów na jezioro,
Łódkę mą — piersią odtrąciwszy białą...
A ja — ach, nie wiem, co się ze mną stało!
Czy mnie anieli do nieba zabiorą,
Czy grzmiące fale jeziora pochłoną,
Czy uśmiechami rozrywa się łono,
Czy serce jak lód rozegrzany taje,
Czy dusza skrzydeł anielskich dostaje,
Czyli w nią wstąpił cały anioł złoty?
Czyli uśmiechów pełna? czy tęsknoty?
Wszystkie uczucia gwałtownymi loty
Na serce spadły, jak gołębi chmura
Pić ły i białe w nim obmywać pióra,
Aby się czyste rozlecieć po niebie...
Wtem zawołała łódź ze mną do siebie.
Usłyszała ją łódka i spostrzegła,
I sama do niej z błękitu przybiegła.

VI

Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów
Stoi cichości pełna i kolorów
Tella kaplica. Jest próg tam na fali,
Gdzieśmy raz pierwszy przez usta zeznali,
Że się już dawno sercami kochamy;
A pod tym progiem są na wodzie plamy
Od sosen, co się kołyszają na niebie,
I od skał cienia; gdzie mówiąc do siebie,
Wbite do wody trzymaliśmy oczy.
A pod tym progiem fala tak się toczy,
I tak swawolna, i taka ruchoma,
 Że wzięła w siebie dwa nasze obrazy
I przybliżała łącząc je rękoma,
 Chociaż nas tylko łączyły wyrazy.
Ach! fala taka szalona i pusta!
Że połączyła nawet nasze usta,
Choć sercem tylko byliśmy złączeni.
Fala tak pełna ruchu i promieni,
Że jednym światła objąwszy nas kołem,
Zmieszała niby anioła z aniołem.
Gdy myślę — boleść dręczy mię niezmierna.
Falo! niewierna falo! — i tak wierna!

Woda

VII

Raz mię ów anioł zaprowadził złoty
Przez jasne łąki do lodowej groty.
Tam ją obielił dzień alabastrowy;
I mróz na czole mej jasnej królowej⁴⁴
Perłami okrył wszystkie polne róże;
I ze sklepienia lzy leciały duże;
A we łzach sylfy z jasnością ogromną
Deszczem spadały na białą i skromną.
Słyszac, że ściany płaczą coraz głośniej,
Cała się szatą okryła zazdrośniej
I wszystko oczom ciekawym ukradła,
I jeszcze ręce skrzyżowane kładła
Na alabastry widne, choć zakryte.

Łzy

Tak nieruchoma stała — a koło niej
Igrały tęcze w blaski rozmaite.

Ja wtenczas modlić się zacząłem do niej.
Ave Maria!

Modlitwa

Jak biała róża, kiedy się rozwija,
Róż pokazuje z piersi odemkniętej,
Taki rumieniec wyszedł z lica świętej.
I zamyślona odwróciła głowę,
Palec na ściany kładąc kryształowe;
Jak ta, co imię ukochane kryśli⁴⁵
Lub o błękitnych jakich myślach — myśli.

Wreszcie się do mnie obróciwszy rzekła:

„Może za miłość ja pójdę do piekła
I gdzieś w piekielne wprowadzona chłody,
Wszczepioną będę w kryształowe lody
Jako ta bańka z powietrza i z tęczy...”

Piekło

„Lecz prawda” — rzekła — „jeżeli się męczy
Ta jasność, słońca stworzona promieniem,

Którą lód w sobie mrozi i zabija,
Można ją z lodu uwolnić westchnieniem...”

Ave Maria!

⁴⁴królowej — forma z „e” pochylonym, wymawianym jako „i” lub „y”, pozostawiona bez uwspółcześnienia dla rymu. [przypis edytorski]

⁴⁵kryśli (daw.) — dziś: kreśli. [przypis edytorski]

VIII

Pójdziemy razem na śniegu korony!
Pójdziemy razem nad sosnowe bory,
Pójdziemy razem, gdzie trzód jęczą dzwony!
Gdzie się w tęczowe ubiera kolory
Jungfrau⁴⁶ i słońce złote ma pod sobą;
Gdzie we mgle jeleń przelatuje skory;
Gdzie orły skrzydeł rozwianych żalobą
Rzucają cienie na lecące chmury;
o moja luba! tam pójdziemy z tobą.
A jeśli z takiej nie wrócimy góry,
Ludzie pomyślą, że nas wzięły duchy
I gdzieś w niebieskie uniosły lazury;
Żeśmy się za gwiazd chwycili łańcuchy
I ulecieli z Pelejad⁴⁷ gromadą.
I tylko po nas potok spadnie głuchy,
I błyszczącą się łez rzuci kaskadą.

⁴⁶Jungfrau (niem.) — szczyt w Alpach Szwajcarskich; dosł. panna. [przypis edytorski]

⁴⁷Pelejady — właśc. Plejady, gwiazdozbiór nazwany od mitologicznych nimf, które, uciekające przed Ori-
nem, zostały uratowane przez Zeusa przeniesieniem na firmament. [przypis edytorski]

IX

Ach! najszczęśliwi na ziemi nie wiedzą,
Gdzie duchy skrzydła na ramionach kładną,
Gdzie jak łabędzie zadumane siedzą;
Ach! najciekawszy na świecie nie zgadną,
W jakim szalecte⁴⁸ żyłem z moją miłą;
I wiele nam róż do okien świeciło,
I wiele wiszeń⁴⁹ naokoło rosło,
Ile słowików na wiszniach się niosło;
Ile tam w każdą noc miesięczną, bladą,
Kłóteń⁵⁰ słowików płaczących z kaskadą;
Ile trzód naszych szło na łąkach dzwonić...
Ach! tego nawet śpiącym nie odsłonić
Ani pokazać, ani zawrzeć w słowie...
Łąka i szalet, i wisznie w parowie,
W takim parowie, że stróż anioł biały
Rozwijał skrzydła od skały do skały
I nakrywał ten cały parów dziki,
Szalet i róże, i nas, i słowiki.

⁴⁸*szalet* — tu: szałas górski, drewniany domek. [przypis edytorski]

⁴⁹*wisznie* — forma B lm od rzecz. wiśnia. [przypis edytorski]

⁵⁰*kłóteń* — dziś: kłótni. [przypis edytorski]

X

Lecz nadto było cyprysowej woni
I nadto barwy, co się w różach płoni;
I chciała nas już miłość ująć zdradą. —
Było to rankiem — pomnę — pod kaskadą —
Byliśmy niczym nie strwożeni — sami —
Czytając książkę pełną łez, ze łzami.
Wtem duch mi jakiś podszeptał do ucha,
 Ażebym na nią z książki przeszedł okiem. —
Była jak anioł, co myśli i słucha —
 I nagle — takim przejrzystym obłokiem
Rumieniec smutny twarz jej umalował,
 Że nie wiem dotąd, jak się wszystko stało;
Alem ją w usta różane całował
 I czułem ją tu, na mych rękach, białą,
Sercem bijącą, brylantową w oczach.
Wtem nagle — w jasnej kaskady warkoczach
Coś pomieszało się i coś urzekło;
Wiatr na nas rzucił całe wodne piekło
I z kwiatów spłoszył wilgotnymi mgłami. —
Odtąd jużesmy nie czytali sami.

Pocałunek

XI

Odtąd w uśmiechach była dla mnie rzadsza,
Smutniejsza, cichsza i bielsza, i bladza.
W głębszych się coraz zanurzała cieniach
I obrywała róże na strumieniach;
Albo przy kaskad naciągniętej lutni
Stawała słuchać tak jak ludzie smutni,
Z twarzą spuszczoną; lub sama w ustroni
 Ręce na białą zakładała szyję
Jak ta, co boi się albo się broni.
 Lub jako gołąb, co w strumieniu pije,
Do nieba jasnym wzlatywała okiem.
Już wolnym, sennym błąkała się krokiem
I jaskółeczek utraciła zwinność,
I zadumała ją całą — niewinność.

XII

Widząc ją taką chciałem bronić siebie
I rzekłem: „Luba! jak Bóg jest na niebie,
Z sercaś mi wszystko odpuścić powinna;
Lilija jedna wszystkiemu jest winna.
Otoś ty wczoraj w tym źródle, co bije
Na jasnej łące, myła twarz i szyję;
A tam za tobą prosta, niedaleka,
Jak służebnica, co z rąbkami czeka,
Lilija jedna, cała jasna, w bieli,
Oczekiwała, aż wyjdiesz z kąpieli.
Widząc was obie takie białe, w parze,
Myślałem, że śpiąc o aniołach marzę;
I drżeć zacząłem, i zadrzałem wszystek,
I jeden tylko poruszyłem listek,
Ten listek inne poruszył listeczki,
I szmer się zrobił — ty wybiegłaś z rzeczki;
I takeś prędko uciekała złąkła,
 eś łonem kwiatu potrąciła pręty;
I lilijowa wnet lodyga pękła,
 I kwiat z niej upadł twoją piersią ścięty;
A jam rozważać zaczął z twarzą bladą,
 Jak ten kwiat kruchy, jak ty jesteś zwinna.
I oto dzisiaj rankiem, pod kaskadą —
 Nie jam był winien — lecz lilija winna”.

Kwiaty

XIII

Płonęła wonna jak kadzidło mirry
I widać było, że nie wiedząc płonie.
Głębszymi oczu stały się szafiry
I prędsza fala białości na łonie,
I dziwnym ogniem rozpalone skronie
Wczesne zwiędnięcie dawały bławatkom.
Ona z tych była, co się skarżą matkom,
I skarżyła się gwiazd cichej gromadzie,
Gdy do snu księżyc niepełny się kładzie;
Gdy kwiaty szepcą miłośniczo do ucha,
Co zamyślane, własnych myśli słucha.

XIV

Czy ty gdzieś teraz, o miła, z rozpaczą
Aniołom boskim mówisz rozżalona?
Jak ci, co mówią skarżąc się — i płaczą,
Że była burza gromami czerwona,
Że była grota posepna i ciemna
I grocie z kaskad kryształu zasłona;
Że była trwoga w ciemności tajemna,
Razem niepamięć jakaś boskiej kary;
I skarga smutna czystych nimf podziemna;
Że nas tam samych dzień odstąpił szary
I zastał z twarzą ognistą przy twarzy
I ptasząt nas tak obudziły gwary.
Mówisz ty o tym, jak ta, co się skarży?
O! nie mów ty tak aniołom, niebieska!
Bo każda twoja brylantowa łezka
Jednemu będzie z tych jasnych pożarem.
Bo ja, ach, gdybym był także aniołem,
Z rozpromienionym na błękitach czołem;
I nieskończoność całą miał obszarem,
I mógł zarządzać gwiazdami wszystkimi:
Nie chciałbym gwiazdy niebieskimi świecić,
Lecz tylko rzucić błękity i lecić,
I taką jak ty mieć moją — na ziemi.

Aniol

XV

Z groty ta piękna wyjść nie śmiała sama.
Słońca się może bała na lazurze,
Że za promienne będzie i za duże
Albo że będzie jako czarna plama.
Ale na niebie była z tęczy brama,
Na wyplakanej rozwieszona chmurze.
Wyszła. — I naprzód ją zdziwiły róże,
Że takie były jak wczoraj różowe.
Zerwała jedną i podniosła głowę,
I zadziwiła ją ta tęcza ranna,
Niebios błękitnych przezroczystość szklanna,
Krążek księżycy tonący w błękicie.
Zda się, że nowe ją zdziwiło życie,
Tak w ciszy czegoś słuchała, tak biegła;
Aż gdzieś w kryształach jeziora spostrzegła
Na licu swoim przezroczystsza białość,
Żywszy ust koral i większą omdlałość,
I uśmiech pełny tęsknoty, i żalność.
Więc osłoniła się cała w warkoczu
I więcej na mnie nie podniosła oczu.

XVI

Księżyc

Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,
Kiedy się wszystkie słowiki uciszą
I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
I ciszej źródła po murawach dyszą;
Jakby ta gwiazda miała coś nakazać
I o czym cichym pomówić ze światem,
Z każdym słowikiem, z listeczkiem i z kwiatem.
Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą
Wychodzi błądy pierścionek Dyjanny⁵¹:
Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą
I wszystkie liście na drzewach zabręczą,
I wszystkie źródła jęk wydają szklanny;
O takiej chwili, ach, dwa serca płaczą,
Jeśli coś mają przebaczyć — przebaczą;
Jeżeli o czym zapomnieć — zapomną.
O takiej chwili z moją panią skromną
Jużeśmy siedli w naszych progach sielskich,
Już rozmawiali o rzeczach anielskich.

⁵¹*pierścionek Dyjanny* — chodzi o księżyc, którego patronką w mit. rzym. była Diana. [przypis edytorski]

XVII

Jak śpiewający na niebie skowronek,
Z gór słychać było pustelnika dzwonek.
Rzekła raz: „Chodźmy do staruszka celi,
Może rozgrzeszy, może rozweseli,
Dłonie nam zwiąże i kochać ośmieli”.
Tak mówiąc wbiegła do sosnowej chaty,
Szybko zamknęła wszystkie okienice,
Ażeby na nią nie patrzyły kwiaty;
I ustroiwszy się jak gór dziewice,
Wybiegła do mnie — myślałem, że padnę!...
Ani jej oczy kiedy takie ładne,
Ani jej usta takie były świeże...

Motyła miała czarnego na głowie,
Ten alabastrów od smagłości strzeże;
I przeświecony od słońca w połowie
Na czoło rzuca skrzydła cieniu duże;
A pod motylem pochowane róże
Spod czarnej gazy patrzyły ciekawe,
Na pół zamknięte, świeże, jeszcze łzawe;
Wiedząc, że zawsze strzegę serca strony,
Złośliwy motyl usiadł przechylony.
Myślałem, że mu to skrzydło połamię...
Siadł i na lewe przechylił się ramię.
I któż by wierzył w przeczucia, co straszą,
Gdy wyobraźnia cała szczęściem dumna!
Gdym z góry spojrział na dolinę naszą,
Szalet się oku wydawał jak trumna,
Malańki, cichy; kiedym spojrział z góry,
Nasz ogród z wiszeń jak cmentarz ponury;
I niespokojne o nas gołębice,
I zadumane o nas w łąkach trzody;
Ziemia smutniejsza, błękitniejsze wody,
Zabite śmierci ćwiekiem okienice;
Wszystko zaczęło mię straszyć i smucić,
Jakbyśmy nigdy nie mieli powrócić.
Szedłem posępny i drżący na góry...
Jeziora czarne, głazy, śniegi, chmury;
Girlandy z orłów na błękitnym lodzie,
Słońce czerwone jak krew o zachodzie,
Dom pustelnika śniegiem przysypany
I dwa ogromne na straży brytany,
Krzyżyk na celi, gdzie siadały gile,
Cela, pustelnik stary, księgi w pyle —
Wszystko to dzisiaj już podobne snowi...
Pamiętam tylko, że promień zachodu
Cały się na twarz rzucał Chrystusowi,
Kiedy na palec jej zimny jak z lodu
Kładłem pierścionek.....

.....

Motyl

XVIII

Gaje! doliny! łąki i strumienie!
O nie pytajcie wy mię, smutne, o nią.
Są łzy, co mówić na zawsze zabronią.
A kiedy mówię, wpadam w zamyślenie;
I widzę jasne, błękitne spojrzenie,
Co się zaczyna nade mną litować,
I widzę usta, co mię chcą całować,
I drzę — i znów mię ogarną płomienie.
I nie wiem, gdzie iść? i gdzie oczy schowa
I gdzie łzy ukryć? i gdzie być samotnym?
I staję blady, i kreślę jej rysy;
Lub imię piszę na piasku wilgotnym;
Lub błądzę między róże i cyprysy
Jak człowiek, który skarb drogi postrada,
Zmysły utracił i płacząc usiada
Tam, kędy urny na grobowcach siedzą;
Mysząc, że groby o niej co powiedzą.

XIX

Jest pod moimi oknami fontanna,
Co wiecznie jęczy zapłakany szumem;
Jest jedne drzewo, gdzie harfowym tłumem
Żyją słowiki jedna szyba szklanna,
Gdzie co noc blada zaziera Dyjanna
I czoło moje smutnym blaskiem mam.
I tak mię budzą zalanego łzami,
Te drzewo, księżyc ten i ta fontanna.
I wstaję blady, przez okno wyzieram
Słuchając różnych płaczów na dolinie.
Słowiki jęczą i fontanna płynie,
Mówią mi o niej — ja serce otwieram
I o śmierć prędką modłę się z rozpaczą,
I schnę, i więdnę — i ach, nie umieram...
I co dnia budząc mnie fontanny płaczą.

XX

Kiedy się myślą w przeszłości zagłębie,
Nie wiem, jak sobie jej postać malować?
Czy kiedy przyszła śpiącego całować
Jak z rozwartymi skrzydłami gołębie?
Czy wtenczas, kiedy uciekała trwożna?
Czy gdy na jedną ze mną księgi kartę
Wbijają oczy błękitne, otwarte,
Na każde moje spojrzenie ostrożna?
Czy kiedy wiejskim otoczona dworem
Chodziła gdyby zaklęta królowa?
Czy kiedy cicho uśnie pod jaworem?
Czy kiedy goni? czy kiedy się chowa
W księżycu blasku biała — lub wieczorem
Od Alp na śniegu różowych — różowa?

Wspomnienia

XXI

Skąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą,
Tam pójdę, aż za ciemnych skał krawędzie.
Spojrzę w lecące po niebie łabędzie
I tam polecę, gdzie one polecą.
Bo i tu — i tam — za morzem — i wszędzie,
Gdzie tylko poszłę przed sobą myśl biedną,
Zawsze mi smutno i wszędzie mi jedno;
I wszędzie mi źle — i wiem, że źle będzie.
Więc już nie myślę teraz, tylko o tem⁵²,
Gdzie wybrać miejsce na smutek łaskawe,
Miejsce, gdzie żaden duch nie trąci lotem
O moje serce rozdarte i krwawe;
Miejsce, gdzie księżyc przyjdzie aż pod ławę
Idąc po fali... zaszeleści złotem
I załoscocze tak duszę tajemnie,
Że stęskni — ocknie się i wyjdzie ze mnie.

Księżyc

⁵²*tem* (daw. Mc) — dziś: tym. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/trzy-poemata>

Tekst opracowany na podstawie: Juliusz Słowacki, *Liryki i powieści poetyckie*, wyd. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1974

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Katarzyna Kwiatkowska, Marta Niedziałkowska, Weronika Trzeciak.

ISBN 978-83-288-0943-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).